PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 5 PAŹDZIERNIKA 1935 R. * NUMER 40 (105)

Z ZAPOMNIANYCH UTWORÓW NORWIDA

*
* *

Dwa poniżej wydrukowane wiersze Norwida znajdują się w numerze 42-im (z 21 października) czasopisma *Niewiasta* z roku 1861, umieszczone jeden po drugim; w takim samym porządku i w takiej samej pisowni podajemy je tutaj. Pismo *Niewiasta* było, jak sam tytuł wskazuje, przeznaczone dla kobiet. Jednak środowisko, które zainicjowało wydawanie tego pisma, oraz nazwiska piszących w niem świadczą o dość dalekich celach, które zamierzano osiągnąć przez jego wydawanie. Pismo wydawał Edward Lubowski wraz z Bałuckim i Szujskim. Lubowski, późniejszy pisarz sceniczny, miał lat nie wiele więcej od dwudziestu. Pracowały w piśmie, oprócz samych redaktorów, pióra Szajnochy, Syrokomli, Wilkońskiej. Blisko pisma stał Lucjan Siemieński—jego tłumaczenie Poezyj Michała Anioła wyszło nakładem *Niewiasty*. Pojawiały się tam utwory Libelta i Kremera, potem utwory Aleksandra Fredry, Lenartowicza, Karola Balińskiego, Anny Libery, Goszczyńskiego, Ilnickiej, Józefa Dzierzkowskiego, Wład. Łozińskiego i J. Rymarkiewicza—słowem pisarzy z pod wszystkich trzech zaborów. Można również znaleźć tam przekłady z Byrona, Lamartina, Heinego i tłumaczenia ludowych pieśni serbskich. Można spotkać także wykłady fizyki dla kobiet, co było czemś niezwykłem na owe czasy, i wykłady o literaturze polskiej. Pismo cieszyło się uznaniem nawet złośliwego niejednokrotnie w sądach *Tygodnika Poznańskiego*, który pisał m. in.: „Pani Wilkońska napisawszy wiele, bardzo wiele, nawet kilkotomowych powieści, jedną skromną rozprawką, zamieszczoną w *Niewieście*, o wychowaniu kobiet, więcej się przyczyniła do dobra ogółu, o które dbać mamy sobie za obowiązek, aniżeli niejedną powieścią, która za lat dziesiątek pójdzie w zapomnienie". *Niewiasta* wychodziła w latach od 1861 do 1863 roku.

Wiersze Norwida można zaliczyć do tego okresu twórczości, w którym poeta napisał utwory do M. Zaleskiej, do *Pani na Korczewie*, do Deotymy, utwór *Marjonetki* i in. Mogą one być fragmentem zaginionego utworu dramatycznego.

WACŁAW PARKOTT

BEATRIX

„Οὔτοι συνέχθειν ἀλλὰ συμφιλεῖν ἔφυν"

Utwory pana czytałam starannie,
Lecz niema słówka w nich do Beatricze:
Jak-byś Pan nigdy żadnej pięknej pannie
Nic nienapisał . . . a ja, na to liczę;

Pani! twą naprzód niech mi wolno będzie
Uścisnąć rękę za tak wiele trudu . . .

Trudu?. . .

„. . . zapewne—b o n i g d z i e i w s z ę d z i e
U t w o r y m o j e.—Jam nie śpiewak ludu,
Którego piosnkę kiedyś kmieć powtórzy,
Obejmie tęcza, wicher poda burzy;
Ni śpiewak ludzi nieznanych ludowi . . .
— Tomów i n q u a r t o—tomów i n o c t a v o
Niewyśpiewałem . . . jak poeci owi.
Pieśń ma tam—ówdzie. Krakowie, Warszawo,
Poznaniu, Wilno, i ty, Carów miasto!
Wiecie, żem sercem rzucał bez rachuby . . .

— A pani mówisz: że mię znasz?. . . Niewiasto!
Niewiasto! . . . tom ci napisałem, gruby . . .
Jak grób człowieka:
Tu—pozwól mi Pani,
Że ci zaśpiewam O d ę d o k o b i e t y—

Słucham.

. . . Myśl sama już serce mi rani . . .
Niebędę śpiewał— — O! ty—ty—a nie ty . . .
(Początek znany i który zużyto),
Zacznę inaczej . . .

Zacznij pan: kobieto! . . .

Pani!—tak kończy się, nie zaś zaczyna,
I w tem jest cała trudności przyczyna . . .

Zacznij pan, jak się zdawać panu będzie . . .

Pani!—tak zacznę jak kończą łabędzie . . .



C. NORWID — Rysunek z albumu (Muzeum Nar. w Warszawie)

ODA

Kiedy za kółkiem biegałaś po darni
Cała w warkoczach,
Mówiłem tobie: włos sobie odgarnij—
I łzym miał w oczach.

Brat twój, od rana ci błogosławiłem
Młodości cnotą;
A tyś urosła i niewiesz czemć
[byłem . . .
Brzydka istoto!

Radbym ci za to wziąść te złote sploty
I obciąć nożem,—
Albo uknować jakie wielkie psoty
Z aniołem stróżem . . .

Bo byłem smutny—a kto przyszedł
[do mnie?
Nie ty—o pani!
Gdy krew i ogień i fala koło mnie
Wrzały z otchłani . . .

Bo byłem blady—a róża z za kraty
Dała mi wonie,
I w puszczach byłem, a mech mi
[brodaty
Kładł się pod skronie . . .

I smutki ludzkie, prawie smutki
[Boże—
Znam po nazwisku;
Zawiści chude brałem na obróże
W piekieł ognisku.

„Eurydyce! miałbym mówić prawo,
Pozdrów mię, proszę . . ."
I Andromacy rzec: „ksieni! łaskawo
Patrz, ile znoszę . . ."

Nie, jak Eneasz, ja piekielne groty
Przeszedłem—o! nie:
Bo żałowaliście mi rózgi-złotej
I ziół na skronie,

Gdym nogę bosą stawił z dumą wielką
Na zamieć czasów,
A niesplamiłem ci łzy mej kropelką
Wstążek, atłasów! . .

Anim gazowy oberwał ci welon,
By otrzeć skronie,
Choć nie duch jestem; ale jestem
[wcielon,
Pomny o zgonie . . .

Dlatego znam cię R e a l n o ś c i—
[w d o w o!
I znam twą śliczność,
I powiem tobie tylko jedno słowo:
— Tyś . . . jak . . . publiczność.

CYPRYAN KAMIL NORWID

„GRANICA"

Treść ostatniej powieści Nałkowskiej [1] jest niezmiernie prosta. Zenon Ziembiewicz jako młody student miał kochankę; wiejską dziewczynę Justynę Bogutównę. Nie była to miłość „głęboka" — ot zwykła kawalerska przygoda. Zenon zakochał się tymczasem w pannie Elżbiecie Bieckiej, z którą się zaręczył. Sprawa poszła normalnym burżujskim trybem: tamto było tak sobie „w braku laku", a to „serjo". Złożyło się jednak, że Justyna zaszła w ciążę. Zenon wyznaje to narzeczonej. Ta zaś po rozmowie z Justyną zdecydowuje, że musi się z Zenonem rozstać: Justyna ma do niego większe prawa niż ona, Elżbieta, choć jest nietylko narzeczoną, ale i kochanką Zenona. Elżbieta wyjeżdża i milczy przez kilka miesięcy. Życie jednak, jak to mówią, inaczej postanowiło. Elżbieta wychodzi za Zenona. Tymczasem Justyna „psuje" dziecko, ulegając cichej, może podświadomej sugestji kochanka, który w momencie krytycznym podsuwa jej pewną sumę pieniędzy, zresztą „bynajmniej" nie namawiając Justyny na spędzenie płodu, owszem, pozostawiając jej „swobodę decyzji".

Justyna popada w melancholję, prześladuje ją myśl o zemście na Zenonie, której wreszcie dokonywa, ulegając raczej głęboko w niej zakorzenionemu instynktowi niż namiętności indywidualnej. Oblewa kochanka kwasem siarczanym i Zenon w parę dni umiera.

Oto cała fabuła. Tak skąpy temat może wziąć na warsztat tylko pierwszorzędny pisarz. Domyślamy się też zgóry, jak doskonale wywiąże się Nałkowska z zadania. Przecie jej specjalność to badanie tych spokojnych kompleksów nędzy ludzkiej, gnieżdżących się, niby pluskwy za tapetą, w szczelinach życia burżuazyjnego. Nałkowska jest uczciwą pisarką. Nie mistyfikuje nas, ale pracowicie schylona nad swoimi bohaterami, śledzi ich koleje, z kliniczną uwagą notuje najmniejsze zmiany i powiadamia nas o nich z urzędniczą niemal dokładnością, a zarazem z wielkiem wirtuozostwem słowa. Nasuwa się tu porównanie (przez kontrast) z inną naszą pisarką, Szelburg-Zarembiną, która w swej *Wędrówce Joanny* dała nam wielką kolekcję rzeczy niezhierarchizowanych i niezestrojonych kluczem wewnętrznego rytmu. Jeśli raz jeszcze wspominam o tem, to nie przez zaciekłość w wygłaszaniu sądów ujemnych o powieści, którą niemal cała krytyka pochwaliła, ale dlatego, że uważam za pożyteczne wszczepianie czytelnikowi zamiłowań konsekwencji artystycznej, której tak doskonałą rasową przedstawicielką jest Nałkowska — i odstraszania go od wszelkiej nieodpowiedzialności słowa.

Zanim będę mówił o rzeczach bardziej ogólnych, pragnę zwrócić uwagę na pewną sprawę, dotyczącą psychologji Zenona. Autorka przedstawia nam go jako mężczyznę nieprzeciętnego. Nietylko pod względem uzdolnień intelektualnych. Stosunek Zenona do swojego kawalerskiego romansu jest — mimo wszystko — znacznie głębszy niż u zwykłego sobie burżujskiego synka, który likwiduje „takie sprawy" bez najmniejszych skrupułów. Dla Zenona to jest jednak problemat, kwestja sumienia. Ten chłopak nie jest zwykłym sobie lowelasem, uganiającym się za lada spódniczką. Podejrzewamy w nim raczej głębszą uczuciowość; to co wiemy o jego stosunku do narzeczonej, wskazuje, że był zdolny do silnych przeżyć erotycznych, nietylko seksualnych (Warszawie trzeba to ciągle powtarzać). Otóż na tle tej charakterystyki wydaje mi się, że życiowa droga Zenona nie została skontrolowana dokładnie w jednym momencie. Kiedy mianowicie Zenon, zakochany w Elżbiecie i zdecydowany żenić się z nią, spotyka w miasteczku Justynę, zaprasza ją do hotelu, by jakoś tam powiedzieć jej o swoich planach małżeńskich — no i w końcu „od słowa do słowa" — kładzie się z nią do łóżka. Niema w tem nic „nienaturalnego". Taki paralelizm seksualny jest nawet bardzo pospolity. A jednak Nałkowska zbyt łatwo otworzyła kredyt komunałowi o „poligamicznej" naturze mężczyzny. Zenon był jednak zakochany, „wzięty", rozpłomieniony, kochał się w swej Elżbiecie, miłością głęboką i zmysłową. Był w tym stanie napięcia erotycznego, które z poligamisty czyni monogamistę. Oczywiście nawet w tym wypadku mogło coś się „zdarzyć", mogły odezwać się dawne nałogi, wziąć górę stare „zasiedziałe" wzruszenia — ale tak czy inaczej te dwa światy musiały jakoś się zetrzeć, zazębić o siebie, musiał powstać konflikt; nie konflikt sumienia, czy obowiązków, ale konflikt uczuć, zderzenie się dwóch fal wzruszenia erotycznego. I ten moment uszedł uwagi Nałkowskiej. Załatwiła go dogmatem męskiego poligamizmu, który zwolnił ją od dalszych poszukiwań i pogłębień. Jest to zapewne punkt dość trudno uchwytny dla kobiety, która kiedy nawet jest znakomitą powieściopisarką i doskonałą obserwatorką, ulega jednak sugestji kanonów, na których wychowało się tyle pokoleń jej poprzedniczek, kanonów przyjętych zresztą bez wahania przez nasze męskie „girlasy". Ale od Nałkowskiej wymagamy dużo. Mamy prawo. Nie chcemy się zgodzić, by w jakimkolwiek punkcie poprzestawała na rutynie.

Nałkowska w *Granicy* jest na szczycie swojego kunsztu. Jest w tym niebezpiecznym punkcie karjery literackiej, kiedy pisarzowi zaczynają zadawać pytania zasadnicze, żądać od niego odpowiedzi ostatecznych. I myślę, że takie żądania są słuszne. Oczywiście, możnaby i teraz poprzestać na wyliczeniu wszystkich wysokich zalet pióra Nałkowskiej, roztoczyć przed czytelnikiem bogactwo środków jej ekspresji, podnieść mistrzostwo kompozycji, zajrzeć do wszystkich zakamarków tego wielkiego warsztatu. Ale czy właśnie takie postępowanie nie krzywdziłoby pisarki? — Co nam przynosisz? — tego pytania nie ujdzie żaden prawdziwy pisarz.

Próbując na nie odpowiedzieć, rzekłbym, że Nałkowska przyniosła nam *wielką lojalność wobec rzeczywistości*. Ta lojalność stała się jej bóstwem. Nałkowska stara się być współrozciągła z rzeczywistością. Postanowiła sobie nigdy nie kłamać. Wsłuchać się w rzeczywistość, podsłuchać ją — i w skupieniu, nic nie mówiąc po drodze, przenieść na papier. Oto jej *modus*. W ten sposób powieściopisarz gwarantuje sobie nieomylność, ubezpiecza się przed zarzutami, tak zawsze dotkliwemi, nienaturalności, fałszywej psychologji. Nałkowską widzimy zawsze w tej zbroi, starannie wypracowanej wśród długich wieczorów żmudnej pracy.

A jednak jest w tem jakieś wymykanie się najwyższym imperatywom pisarstwa. To prawda, i Nałkowska miała swój okres heroiczny: kiedy pisała swoje sztuki teatralne. Wtedy stawiała życiu pytania. Ale nawet wtedy trzymała rzeczywistość blisko przy skórze. Jest w takiem postępowaniu coś z taktyki artylerzysty, który zasypuje przeciwnika ogniem huraganowym, a gdy ma pewność, że wszystko przed nim zniszczone, wtedy dopiero posuwa się dalej. Jest w tem coś ze zdawania na piątkę i to rzymską z plusem. Wyższej szarży w resorcie pisarskim niema. I tę szarżę Nałkowska osiągnęła bezapelacyjnie.

Ale czy na tem wolno poprzestać? Jest to twórczość z minimalnem ryzykiem. Trzymając się wciąż ściśle tego co jest, bezustannie nachylając się nad rzeczywistością, daje sobie człowiek złudzenie, że objął ją całą, że doszedł do jakiejś mety. Ale samą pilnością z dodatkiem dużego nawet talentu pisarskiego nie zdobywa się tajemnic życia. Na to trzeba jeszcze *ryzyka*. Ale ryzyko — „jak samo słowo wskazuje" — jest ryzykowne. Na pisarza czyha na każdym kroku kompromitacja. Ci co ryzykowali w literaturze — najwięksi powieściopisarze świata — żyli na krawędzi ustawicznej kompromitacji, ocierali się o śmieszność, przesadę, szarlataństwo. Wystarczyło nieco wychylić się poza linję „sprawdzonej" prawdy, a rewelacyjność groziła przerodzeniem się w groteskę. Ileż jest śmiesznej fanfarońskiej przesady w atletycznej bryłowatości i rozmachu Balzaca, ile romantycznego hochstaplerstwa u Stendhala, ile histerycznego zgrywania się w powieściach Dostojewskiego, ile straszliwej niezdarności, ba tandety publicystycznej w lirycznych porywach Żeromskiego! — Znamy też inny typ, „zimnych" pisarzy, fanatyków autentyczności. Flaubert. Ale to zimno jest też ryzykiem: mrozi, skazuje na śmierć własne postacie, wrasta ścianą kamiennej obojętności pomiędzy pisarzem i „żywymi ludźmi". Pisarz staje się banitą życia. Wszyscy ci ludzie żyją w świecie wielkich projekcyj psychologicznych, którym dorabiają kunsztownie autentyczność (najwidoczniejsze to jest u Dostojewskiego), aby z tych eksperymentów wycyganić tajemnicę, naciągnąć życie, by się wygadało ze swoich sekretów. Ale to są eksperymenty kosztowne. Wymagają okupu — i to wysokiego.

Kto tego okupu nie chce czy nie umie złożyć — ten nie wyjdzie poza wirtuozostwo pisarskie. W dzisiejszej naszej literaturze zgasł duch ryzyka. Przy wszystkich (dużych i zasadniczych) pretensjach, które mam do Kadena, muszę stwierdzić, że on jeden w Polsce *ryzykuje*. Można się kłócić do upadłego o rodzaj tego ryzyka, o jego wartości odkrywcze, ale ono *jest*. Jest dobijanie się do wrót życia, wiara w to, że można zdobyć tajemnicę. Mniejsza o to, gdzie jej Kaden szuka.

Jeśli powiadam, że Nałkowskiej brak owego pierwiastka ryzyka, to nie trzeba tego tłumaczyć w ten sposób, aby akuratnie jej powieść pozbawiona była tego, co się w potocznym języku literackim określa jako „głębię". Owszem ta głębia jest. Akurat jest jej tyle, ile jej znalazła autorka w swoich notatkach o życiu. A że notuje sumiennie i inteligentnie, więc i tego pierwiastka nie zbrakło. Podziwienia godna jest wysoka kultura obserwacji u Nałkowskiej. I zasięg tej obserwacji. Takie np. strony, jak wizyta w akwarjum i opis dna morskiego z jego zamkniętym, na wieczność nieznanym tragizmem, należą do znakomitych nietylko w dorobku Nałkowskiej, ale wogóle w naszej literaturze. Jednak Nałkowska, wierna swej zasadzie zgody z rzeczywistością, nie pójdzie dalej. To co znalazła, włączyła w swe opowiadanie o stęchłem burżujskiem życiu dwojga nieciekawych ludzi, rada, że w tej szarzyźnie natrafiła na tak egzotyczne klejnoty. — Żarzą się dopiero ostatnie strony powieści. Scena ostatniego spotkania Zenona z Justyną, a potem tych parę wierszy o poronieniu Justyny (nieprześcigniony wzór, jak się osiąga wstrząsający realizm opisu bez wkładek akuszeryjnych i snobizmu szczegółów) — przenoszą nas już na samą granicę możliwości autorki. Słusznie dała Nałkowska swej powieści tytuł: *Granica*. Bo też to jest granica doskonałości pisarskiej, daleka i jakże trudno osiągalna granica *fachu*. Poza tą granicą jest już *wielkie ryzyko*. O możności jej przekroczenia decydują czynniki tak ważne i tak bardzo indywidualne, że krytyk nie waży się o nich mówić, oddając głos bogom.

J. E. SKIWSKI

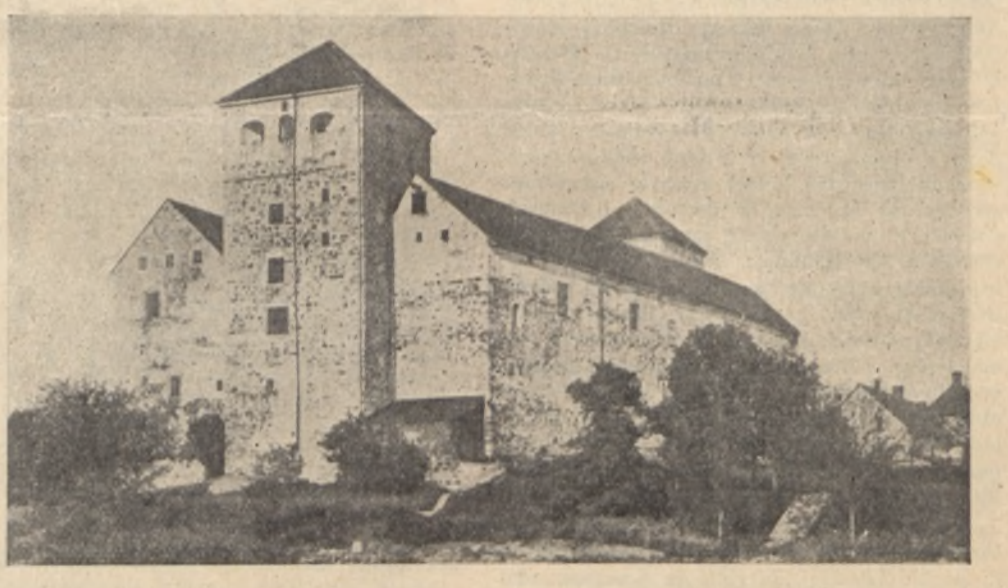
[1] Z o f j a N a ł k o w s k a: *Granica*. Powieść. Warszawa 1935. Gebethner i Wolff.

KATARZYNA JAGIELLONKA, KRÓLOWA SZWEDZKA

Z okazji wyboru znakomitego znawcy renesansowej sztuki szwedzkiej Augusta Hahra, profesora uniwersytetu w Uppsali, na zagranicznego członka Warszawskiego Towarzystwa Naukowego podajemy poniżej jego artykuł o Katarzynie Jagiellonce, królowej Szwecji. Polski czytelnik odnajdzie w nim oczywiście wiele rzeczy znanych, tem niemniej ciekawy będzie rzut oka na tę postać z punktu widzenia zagranicznego i protestanckiego.

Prof. Hahr nieomal całe swoje życie poświęcił studjom wymienionego okresu, w związku z czem wymienić należy z całego szeregu przynajmniej jedną z jego prac, *Östeuropeiska stildrag i nordisk renässansarkitektur*, Uppsala 1915, której pierwszy rozdział nosi tytuł *Krakau—renässansen och polsk-slaviska inflytelser i 1500-talets nordiska byggnadskonst* (Krakowski renesans i polsko-słowiańskie wpływy na nordycką architekturę w XVI w.).

Przypominamy zarazem, że w dziedzinie literatury pięknej zajął się postacią Katarzyny Jagiellonki nie kto inny jak Verner von Heidenstam, nestor szwedzkich pisarzy, w noweli *Śmierć Katarzyny Jagiellonki*, tłumaczonej na polski język przez d-ra Michała Sokolnickiego w odcinkach *Gazety Polskiej*.



Zamek w Abo

W katedrze uppsalskiej leży w północnej nawie za nawą poprzeczną kaplica większych rozmiarów, zwana Jagiellońską. Nikt ze zwiedzających katedrę nie może ominąć znajdujących się w niej dwóch wspaniałych nagrobków, z których jeden wznosi się nad grobem Jana III; postać jego odtworzono tu w alabastrze, odzianą w zbroję, spoczywającą na katafalku pod baldachimem podpartym korynckiemi kolumnami, pogrążoną we śnie, z głową opartą o prawe ramię i z wyrazem najgłębszego spokoju w pooranej bróździami twarzy, otoczonej długą falistą brodą; drugi nagrobek wznosi się nad jego pierwszą żoną, polską księżniczką Katarzyną z rodu Jagiellonów, córką Zygmunta I i medjolańskiej księżniczki Bony Sforzy.

Królowa przedstawiona jest w swoich sztywnych szatach na sarkofagu ustawionym pod prostym kątem przy zachodniej ścianie. Ścianę dokoła sarkofagu zdobi łuk spoczywający na doryckich kolumnach, ubrany w tarcze herbowe, płaszczyzna ściany zaś zajęta jest m. i. przez tablice bronzowe o pompatycznych łacińskich napisach. Nagrobek zbudowany jest z bardzo różnolitego materjału: z marmuru, alabastru i bronzu, a ponad wszystkiem na sztabie żelaznej zwisa królewska korona ze srebra. Podczas gdy nagrobek Jana III dopiero na inicjatywę Gustawa III w r. 1782 sprowadzono z Gdańska do Szwecji, chociaż zamówiony był przez Zygmunta i księcia Karola w r. 1594 (później zatrzymany na miejscu i zapomniany) nagrobek królowej już krótko po jej śmierci (1583) stał na swojem miejscu. Było to dzieło rzeźbiarza i architekta królewskiego Wilhelma Boya. Sklepienia i ściany kaplicy są nieomal zupełnie pokryte stiukowemi ornamentami, składającemi się z girland liściastych, pęków kwiatów i owoców oraz z obejmujących niszę grobowca postaci aniołów. Twórca tych ornamentów, sztukator Antoni Watz, ozdobił podobną ornamentacją dawną kaplicę na zamku uppsalskim, z czego zachowały się fragmenty, które wkrótce zostaną wydobyte na wierzch, z pod ukrywających je paneli. W krypcie pod kaplicą pochowano ciało królowej w kamiennym sarkofagu, ozdobionym herbami państwowemi i ornamentacją ramową [1].

Choć żadna szwedzka królowa nie spoczywa pod tak wspaniałym nagrobkiem jak Katarzyna Jagiellonka, jest ona stosunkowo mało znana. Ogólne zdanie, że była katoliczką i oddziaływała na katolickie zainteresowania swego męża, jest słuszne. Że wspólnie ze swoim mężem była więziona w Gripsholmie, o tem wie prawdopodobnie każdy szwedzki uczeń gimnazjalny, który się uczył szwedzkiej historji. I na tem koniec. W ogólności należy powiedzieć, że jest ona mimo całego przepychu, którym ją uczczono po śmierci, ciemną i zagadkową postacią w dziejach.

Jedną z przyczyn jest oczywiście jej katolickość. Kamiennie surowi księża luterańscy oraz uczeni i duchowni zajmujący się w XVII w. dziejami ojczystemi, uczynili wszystko, by zatrzeć jej zasługi, a nawet samą jej egzystencję, tam gdzie poprostu nie uważali za stosowne znieważać jej pamięci. Dla tych panów jak i dla innych nawet jej narodowość była nienawistna, do czego przyczyniały się ciągłe wojny i kampanje w Polsce.

Mimo to pomogły jednak badania współczesnych listów i dokumentów tak w Szwecji jak i w Polsce do stworzenia nieco wyraźniejszego obrazu polsko-szwedzkiej księżniczki, a w przyszłości wypłyną zapewne na wierzch jeszcze dalsze szczegóły. Dodać należy, że jesteśmy uprawnieni do wyciągnięcia zupełnie pewnych konsekwencyj co do jej znaczenia dla swej nowej ojczyzny na polu specjalnem, to jest w dziedzinie sztuki.

Córka Zygmunta i Bony Sforzy urodziła się 1 listopada 1526 r. jako najmłodsza z pięciorga dzieci pary królewskiej, t. j. czterech córek i jednego syna. Ojciec jej miał prawie 50 lat, gdy ożenił się po raz wtóry z 25-letnią księżniczką Medjolanu, która mimo całego swego wykształcenia, swojej miłości do sztuki i innych wybitnych cech, posiadała cały szereg właściwości, które jej wreszcie zaskarbiły smutną sławę w dziejach Polski. Wnet zapanowała nad swoim starym, dobrodusznym małżonkiem i rządziła krajem w wielu wypadkach wedle swego upodobania, co doprowadziło do konfliktów z ambitną,

[1] Jan III jest pochowany w kaplicy gustawjańskiej za ołtarzem głównym.



Zamek w Gripsholm

żądną władzy, polską magnaterją. Jedna z jej córek wyszła za króla Węgier, Janusza Zapolyę, Zofja znowu za starego księcia Brunszwiku. Anna i Katarzyna zaś, o które matka zdawała się najmniej dbać, pozostały przez dłuższy czas niezamężne. Syn, Zygmunt August, wstąpił na tron po śmierci swego ośmdziesięcioletniego ojca (1548). Stosunki z matką się popsuły wskutek jego miłości do Barbary Radziwiłłówny, którą pomimo oporu różnych stron koronowano.

Nareszcie pojawiły się widoki zamążpójścia dla księżniczki Katarzyny. Jako starający się zgłosił się w r. 1561 syn Gustawa Wazy, książę Finlandji, Jan. Król Zygmunt August okazał się chętny i już następnego roku dn. 4 października wyprawiono wesele w Wilnie. Obchodzono je z wielkim przepychem. Turnieje i inne zabawy następowały po sobie przez tydzień, poczem para książęca ruszyła do ziem księcia Jana, do rezydencji Abo, z zamkiem, pochodzącym z średniowiecza.

Zachowały się listy, zawierające opis wyprawy Katarzyny. Obejmowała ona nietylko wielką liczbę strojów różnego rodzaju z jedwabiu, aksamitu i brokatu i t. d., lecz i drogocenne ozdoby, biżuterje i srebra stołowe i kościelne. Nie brak również było tkanin, tapet i mebli. Spis służby książęcej obejmuje 47 mężczyzn i 15 kobiet. Zrozumiałem było, że musiało jej towarzyszyć trzech księży. Charakterystycznym rysem czasu było, że w świcie znalazło się dwóch karłów i dwie karlice.

Podróż z Rewla przez zatokę Fińską i Botnicką stała się z powodu lodu uciążliwa, dotarto jednak wreszcie do stolicy księstwa. Tamtejszy zamek posiadał dwie czterokanciaste baszty na wschodzie i zachodzie, połączone dwoma wysokiemi budynkami, które tworzyły wewnętrzny dziedziniec zamkowy, do czego dochodziło po wschodniej stronie przedzamcze. Zamek otrzymał swój kształt w XIV i XV ww. Pod Stenem Sture dobudowano tu w paru salach ostrołukowe sklepienia spoczywające na kolumnach. Zamek został rozbudowany i umocniony przez Gustawa Wazę i księcia Jana, który postanowił urządzić zamek jaknajwspanialej z okazji przybycia swojej oczekiwanej małżonki. Pobyt w nowej rezydencji nie był jednak długi. Rozeszły się pogłoski o planach pary książęcej, zmierzających do oderwania Finlandji od Szwecji i przekształcenia jej wraz z Inflantami i Estonją w państwo uzależnione lub w każdym razie sprzymierzone z Polską. Bo bez Polski, która zresztą wojowała o inflanckie i estońskie posiadłości z carem, plan taki nie byłby był możliwy. Jakakolwiek była prawda, pewnem jest, że Eryk, mocno przeświadczony o tych intrygach, w ciągu 3 miesięcy kazał oblegać Abo. W końcu musiał książę kapitulować i został uwięziony wraz z żoną i dworem. Sejm zwołany do Sztokholmu w r. 1563 zasądził go za zdradę stanu na śmierć wraz z pozbawieniem czci i własności, został jednak ułaskawiony przez króla i skazany na dożywotnie więzienie, na nalegania swoich najbliższych m. i. francuskiego awanturnika Karola de Mornay, który później intrygował przeciwko życiu i koronie króla Jana. Na więzienie dla księcia wybrano Gripsholm. W towarzystwie żony, która zapytana przez Görana Perssona, czy zechce przebywać z małżonkiem w więzieniu, miała pokazać mu pierścień z napisem „Nemo nisi mors“, statkiem przewieziono go przez Mälar do podówczas dość nowego i niezupełnie wykończonego zamku Gripsholm. Przez cztery długie lata Jan i Katarzyna przebywali tu zamknięci, aż czysty przypadek, można powiedzieć, cięższy wybuch obłąkania króla Eryka, który znalazł wyraz w haniebnem zamordowaniu Sturych i następnych posunięciach zdradzających żal i brak konsekwencji, sprawił ich nieoczekiwane uwolnienie, a także upadek i koniec króla. Zachowały się listy m. i. jeden od Görana Perssona i inne dokumenty opowiadające o dramatycznem uwięzieniu i o życiu pary książęcej w latach niewoli. Tu podaję kilka szczegółów.



Portret Katarzyny Jagiellonki (w Muzeum w Abo) ofiarowany przez Rząd Polski

Gdy książę Jan z swoją żoną w połowie sierpnia 1563 na jachcie żaglowym przybył do Gripsholmu, zamknięto ich zrazu na drugiem piętrze wieży Gripa, która później służyła za zbrojownię. List Görana Perssona, którego król Eryk wysłał dla zbadania, jak postąpiono z parą książęcą, skierowany do króla objaśnia, że „siedzą w wielkiej wieży ponad kancelarją“ — która później leżała za wieżą, stanowiąc część obecnego skrzydła namiestnikowskiego. Dla księcia jednak przeznaczono komnatę, „która się znajduje w małej wieży między salą kaflową i wielką izbą zamkową“, t. j. pokój w wieży więziennej. Powodem niewypełnienia rozkazu przez strażników było to, że podłoga tam była zniszczona, a kraty okienne w nieporządku. Rozgniewany, potężny sekretarz nie jest wolny od podejrzeń, lecz każe szybko zaradzić szkodom i dla pewności zamurować drzwi. Komnata więzienna stała jednak w kontakcie z światem zewnętrznym przez schody w murze zewnętrznym. Następnie rozkazano panu Klasowi Flemmingowi i Matsowi Törnemu sprowadzić więźnia do przeznaczonego pomieszczenia. „Co się stało“, jak o tem krótko opowiada list. Ale poczciwy Göran ma i inne rzeczy do opowiedzenia. Książę skarżył się, że zakazano księżom żony towarzyszenia jej i że chciano oddalić od niego jego dwoje dzieci. Ten ostatni fakt wydaje się dziwny. Sprawa tyczy się dwojga dzieci księcia z nieprawego łoża, Juljusza i Zofji Gyllenhjelm, jak je później nazywano. W dawnych czasach wychowywano książęce dzieci takiego pochodzenia prawie jak potomków uświęconego prawem małżeństwa. Wolno im było towarzyszyć parze książęcej w podróży, kazano im jednak bezpośrednio potem opuścić Gripsholm. Darowano więc żonie Görana parę złotych łańcuchów, by azjęła się narazie dziećmi i zaopatrzyła je w bieliznę. Jej zacny małżonek zabiera księciu, za poradą i zgodą straży, wszystkie jego klejnoty, nie zapomina jednak zapytać go, czy wolno mu coś zatrzymać dla siebie, czy też ma wszystko przekazać skarbowi królewskiemu. Więzienie Jana, a wtedy także zapewne i Katarzyny, leżało więc w wieży więziennej i stanowiła je izba, którą potem nazwano izbą księcia Karola od jodłowych paneli zaopatrzonych w jego herby i inicjały, motywy łukowe i kolumnowe oraz malowane ornamenty kwietne, owocowe i in.

Na białem tle sklepienia wymalowano pęki kwiatów, łodyg i powojów, to wznoszących się z waz niby stojących na panelach, to znowu splecionych we wzór kraty; całość niezmiernie świeża i bezpośrednia i nieco przypominająca sztukę ludu czasów późniejszych. Łóżko jest umieszczone w grubym murze jednej z nisz okiennych. Niebawem złagodzono surowość więzienia. Eryk pisze mianowicie w rok potem do senatora Maansa Somego, który odpowiadał za więźniów, że wolno przebywać księciu i jego małżonce, gdzie mu się spodoba w obrębie zamku, ale że przy opuszczaniu komnaty, która dla niego była przeznaczona, winien się znajdywać w towarzystwie odpowiedniej liczby żołnierzy, którzy mają pilnować pod karą śmierci, by książę z nikim nie rozmawiał i by nie otrzymywał żadnych listów. Księżnie wolno było z fraucymerem spacerować w parku zamkowym, ale i tu rozkazano straży, by pilnowała, by żadnych nie było rozmów z postronnymi „a nawet nie z drogiemi siostrami Króla Jmci, księżniczkami“. Królowi zresztą zależało na tem, by więźniom w usłudze niczego nie zbywało i by ich traktowano jako książęce osoby. Każe im posyłać nietylko jadło i wina, ale nawet paki z ubraniami, biżuterją a nawet książkami. Wynagradza sobie to zresztą przez zagarnianie tych części posiadłości, które pragnął posiadać.

Tu w Gripsholmie urodziła się i zmarła w wieku półtora roku ich córka Izabella. Mały ujmujący pomnik z alabastru z podobizną księżniczki w katedrze w Strängnäs służy jej pamięci. Tutaj także ujrzał światło syn Zygmunt „ich najwyższa pociecha w tym smutku, więzieniu i niebezpieczeństwie życia“, jak opowiada pewien polski kronikarz.



Król Jan III

W najnieszczęśliwszym roku panowania króla Eryka, 1567, wybiła godzina wolności. Męczony wyrzutami sumienia po zamordowaniu Sturych w Uppsali w maju tego samego roku, kazał król w wyraźnie nienormalnym stanie umysłu uwolnić brata i bratową. 6 października wyruszył Per Brahe i wuj Jana Sten Eriksson Leijonhuvud po nich do ponurego zamku nad Mälarem i w dwa dni potem miała miejsce żałosna scena pojednania w Svartsjö a właściwie na Väntholmen, gdy król Eryk ugiął kolana przed Janem, witając go jako prawego króla. Łatwo zrozumieć zakłopotanie tego ostatniego i nieprzyjemność sytuacji. Ta sama komedja powtórzyła się następnego dnia, scena, którą Eryk sam w swoich pamiętnikach odmalował. Po przejściu kryzysu zmienił naturalnie zupełnie swoje zamiary, a myślał nawet o posłaniu Katarzyny carowi na jego żądanie itd. To jednak co przypuszczał i przepowiadał w tych ciemnych dniach październikowych w swoim serdecznym strachu, miało się stać rzeczywistością w niespełna rok później. I role się zmieniły.

Katarzyna była nie mniej niż 11 lat starsza od swego męża, co jednak nie przeszkadzało, że małżeństwo ich odznaczało się gorącą miłością i oddaniem. Coprawda nie mieszała się bezpośrednio do jego politycznych poczynań, ale pewnem jest, że wywierała mocny wpływ na zmiennego, niezdecydowanego męża, który posiadał ruchliwy i gwałtowny temperament Wazów, do czego dochodziła pewność siebie i poczucie władzy renesansowego monarchy, skutkiem czego łatwo powstawały niesnaski z senatorami, otoczeniem i innymi. Gdy np. członkowie rady zaprotestowali pewnego razu przeciw jego potężnej działalności budowniczej w różnych miejscach Szwecji i Finlandji, podkreślając, że jest niesłychanem, by król i wojny prowadził i budował zamki i fortece, odpowiedział im ostro, iż wyprasza sobie nauki i rady czyjekolwiek. Bez wątpienia małżonka „ta cnotliwa i święta niewiasta“, jak ją nazywano, nierzadko musiała odgrywać rolę pojednawczą i łagodzącą. Jej listy do siostry Zofji w Wolfenbüttel lub rodzeństwa w Krakowie, króla Zygmunta Augusta i księżniczki Anny, opowiadają o wyżej opowiedzianych zdarzeniach i o tych, które nastąpiły bezpośrednio potem.

Do Zofji pisze królowa np. w październiku 1572 wraz z prośbą o pożyczenie jej 42000 talarów, co następuje: „Ten podlec, którego trzymamy w więzieniu, splądrował całe państwo. Gdy zobaczył, co go spotka, zakopał w ziemi wielkie skarby, mając nadzieję, że kiedyś znowu wejdzie w ich posiadanie“. Jest to historja o ukrytym skarbie Eryka, która poruszyła wiele umysłów. Katarzyna kończy: „Mamy nadzieję w Panu Bogu, że nie będzie już nigdy wolny, a pozatem niema nikogo, ktoby mu pomógł. Wiem, że W. K. M. zdaje sobie sprawę ilu pomordował, i dlatego nie ma teraz nikogo“. Rzecz szczególna, że właśnie wtedy układano plany uwolnienia Eryka i detronizacji Jana. Jako motywację wyżej wymienionego żądania podaje Katarzyna, że brat nie wypłacił jej posagu, wynoszącego 50000 dukatów. Tu dotarliśmy do smutnego rozdziału, który napewno musiał przyczynić się do zaciemnienia reszty jej życia, do pretensyj finansowych pary królewskiej w Polsce i we Włoszech. Z wyjątkiem pewnej nieznacznej sumy, nigdy tych pretensyj nie wyrównano. A nie były to drobne sumy, o które toczyła się sprawa.

Poza wspomnianym posagiem wchodził tu w grę spadek po matce Bonie Sforza, t. j. spadek ze strony matki we Włoszech, wynoszący 540000 dukatów, z których należała jej się trzecia część, udział królowej w skarbie Jagiellonów w zamku tykocińskim. Skarb ten składał się ze złota, srebra i kosztowności, które oszacowano na 200000 florenów. Prócz tego była jeszcze pożyczka wysokości 124000 talarów, której udzielił książę Jan Zygmuntowi w r. 1562 pod zastaw sześciu fortec inflanckich; i tych jednak nie zatrzymał, z jakiego to powodu rościł sobie pretensje do dochodów z nich w ciągu dziesięciu lat (1562 — 1572) oszacowanych na 20000 talarów rocznie itd. Według innych źródeł posag miał wynosić 32000 guldenów, a wymienionych 50000 dukatów miało stanowić bezpośredni spadek po matce z dochodów neapolitańskich.

Król Jan utrzymywał stałego legata w Polsce, awanturnika holsztyńskiego, Andrzeja Lorichsa, który miał za zadanie inkasowanie tych poważnych sum a także pilnowanie innych interesów króla, np. jego wyboru na tron. Legatowi nie udało się rzecz oczywista ani jedno ani drugie. Rozgoryczenie wśród Polaków rosło z powodu tych — jak uważali — bezczelnych pretensyj. Poselstwo z Hogenschildem, Bielkem i innymi senatorami na czele również nie osiągnęło celu. Dwukrotnie ominięto Jana III. Za pierwszym razem zwyciężył (1573) Henryk Andegaweński, późniejszy król Francji, za drugim wielkorządca Siedmiogrodu Stefan Batory, który się wtedy ożenił z 53-letnią księżniczką Anną. Z nią to Katarzyna pilnie korespondowała już od czasu przed jej zamążpójściem, tak w sprawie czysto polskich stosunków jak i w sprawie spadku neapolitańskiego. Siostry pilnowały tu wspólnego interesu. Zwracały się one do włoskich agentów i wysyłały specjalnych legatów, jak Holendra Piotra Rosinusa i Szweda Turego Bielkego, którzy mieli m. in. za zadanie składanie wizyt papieżowi i przychylnie usposobionym kardynałom. Ze strony szwedzkiej wysłano 1576 r. samego Pontusa De la Gardie, którego jedyną legitymacją były jego wojenne czyny. Stroną przeciwną, z którą prawowano się o spadek, był sam Filip II, monarcha arcykatolicki i tępiciel kacerzy, który właśnie w tym czasie prześladował swoich holenderskich poddanych. W sposób bardziej lub mniej zgodny z prawem zagarnął on wszystkie posiadłości Bony. Neapol był przecie hiszpański i rezydował tam jego wicekról. Co do dochodów to Filipowi potrzeba ich było conajmniej w tej samej mierze co Janowi. Staje się rzecz dziwna, jesteśmy bowiem świadkami, jak sprawa spadku nagle zostaje połączona z inną, a mianowicie z zaprowadzeniem katolicyzmu w Szwecji.

Wiadomo, że gorąca katoliczka, królowa Katarzyna oddziaływała na króla w dziedzinie religji i że ten zdecydował się wcześnie na zaprowadzenie rytuału, który przypominał katolicki. Liturgja Jana III natrafiła jednak na opór i sprawiła tem samem królowi wiele zmartwień. Gorliwi jezuici królowej mieli jednak plany o wiele dalej idące i król zdawał się przez pewien czas być pozyskany dla idei restytucji katolicyzmu w Szwecji. Oboje z królową korespondują na ten niebezpieczny temat z papieżem Grzegorzem XIII i z pewnymi wpływowymi kardynałami, jak Stanisławem Hozjuszem. Właśnie w tym czasie

zręczni rzymscy ojcowie występują z przynętą w postaci spadku po Bonie, jako nagrodą dla wiernych protektorów kościoła. W r. 1576 papież w liście do Jana III pobudza go, by szedł w dalszym ciągu bez bojaźni po drodze prawdy, obiecuje uczynić wszystko w sprawie pretensji do spadku i godzi się na przysłanie teologów zgodnie z życzeniem królewskiem. Także i De la Gardie wysunął tę prośbę. Ojciec Św. wybrał jednego z najbardziej uzdolnionych, mianowicie sekretarza zakonu jezuitów Antonia Possevina.

Wyruszył on w towarzystwie De la Gardiego w jesieni 1577 do Szwecji i zaszczycił kraj dwukrotną wizytą. Umiejętność przekonywania należała do jego silnych stron. Zdawało mu się nawet, że zdobył kilku senatorów dla świętej sprawy. Podobno później wracał, triumfując z powodu swych sukcesów, przez Polskę do swojego kraju. W rzeczy samej Jan przyrzekł restytucję katolicyzmu pod pewnemi warunkami, co do których miał nadzieję na zgodę papieża. Do nich należało użycie kielicha w komunji świeckich i prawo księży do zawierania związków małżeńskich. Wiadomo, że warunków tych ku wielkiemu zmartwieniu króla nie przyjęto. Krytyczna sytuacja uległa zmianie. Wszystkie przyrzeczenia tyczące się sum neapolitańskich spełzły na niczem. Tylko królowej Annie przysłano raz jeden dochody z neapolitańskich dóbr dziedzicznych — wynoszące 100000 guldenów, nie jest jednak zupełnie pewnem, czy podzieliła się tem z siostrą. Po śmierci Katarzyny dn. 16 września 1583 i ponownem małżeństwie króla z luterańsko usposobioną Gunillą Bielke wszystkie nadzieje na postęp katolicyzmu się załamały. Krótko przed śmiercią Jan III stwierdził, że w dziedzinie liturgji bynajmniej nie działał w interesie papieża. „A tym, którzy okrzykują i obwiniają nas, że w tej sprawie działaliśmy jednomyślnie z Papieżem, odpowiadamy, że djabłu go oddajemy". Pięknie i prawdomównie. Tak możnaby może powiedzieć. Pytaniem jest jednak, czy liturgja Jana przypominająca katolicką nie powstała zupełnie niezależnie od papieża i jego życzeń, poprostu wyrosła z jego estetycznych zainteresowań i życzenia upiększenia ubogich protestanckich obrządków.

Nie można zaprzeczyć faktowi, że Katarzyna Jagiellonka była jednem z narzędzi katolickiej reakcji w naszym kraju, ale z równą pewnością musiała ona — zważywszy jej głębokie poczucie obowiązków wobec męża, kraju i „Świętego kościoła Bożego" — w ciągu swoich późniejszych lat niepokoić się tem wszystkiem jako i wszystkiemi swarami wywołanemi pretensjami w Polsce i we Włoszech. Dzieci swoje, księcia Zygmunta i księżniczkę Annę, kazała wychowywać w religji swoich ojców. Dla pierwszego miało to swoje znaczenie. Choć Polska była monarchją elekcyjną, to jednak potomek Jagiellonów mógł mieć wcześniej czy później nadzieję na tron. Tak się też stało (1587). W związku z tem zlikwidowano niepewne zagadnienia finansowe. Jako jeden z warunków wyboru zostało mianowicie ze strony polskiej wysunięte żądanie anulacji wszystkich pretensyj. Ileż tu nie zmarnowano czasu i siły! Ileż ofiar, ileż niepokoju i obaw one nie kosztowały!

W dziedzinie polityki Katarzyna wiernie stała u boku swego męża. Niejednokrotnie jej szwagier, król polski, starał się zdobyć ją dla swoich planów. W zupełnie innej dziedzinie, na polu kultury artystycznej czynnie wspomagała swego małżonka, zwracając jego smak w pewnym kierunku, i tu jej znaczenie nie podlega żadnym różnicom zdań. Żaden z naszych królów nie był budowniczym tej europejskiej miary co Jan III. Czysto włoski charakter wielkiej części tego, co kazał budować w Sztokholmie, Kalmarze, Valdstenie, znajduje swoje uzasadnienie w osobie Katarzyny Jagiellonki. Rodzice jej stworzyli w Krakowie kawałek Włoch m. in. i w budynkach i pomnikach, które równie dobrze mogłyby powstać pod niebem bardziej południowem. Urodziła się i wychowała w tem wyrafinowanem otoczeniu, a upodobanie artystyczne, które stamtąd wywiozła do swojego ubogiego nordyckiego państwa, miało pozostawić wyraźne ślady w tej podziwu godnej architekturze i zdobnictwie, które zwykle nazywamy renesansem Jana III.

Dynastyczne związki odegrały wielką rolę w rozprzestrzenieniu się form renesansowych w Europie. Tu mamy do czynienia z takim związkiem, który w wyniku swoim daje kontakt pomiędzy dworskim renesansem ówczesnej polskiej stolicy — promienie jej rozchodziły się, jak wiadomo, także pomiędzy arystokrację oraz patrycjat miast — a tą kulturą artystyczną, którą Jan III usiłował wyczarować w swojem północnem państwie. Bynajmniej nie w ostatnim rzędzie w dziedzinie dekoracji różniła się ona od dzieł niemieckiego i holenderskiego renesansu. Król dlatego często poszukiwał włoskich artystów. W r. 1572 pisze np. w tej sprawie do wyżej wspomnianego szwedzkiego posła w Polsce Andrzeja Lorichsa, który zresztą, oskarżony o zdradę, został w r. 1584 w Sztokholmie uśmiercony w sposób nawet jak na owe czasy niezwykle okrutny. Może być, że to właśnie on albo poprostu sama królowa Katarzyna udzieliła jakichś wskazówek. Faktem jest, że w tym samym roku przybywają do Szwecji włoscy artyści, o których prosił legata. Medjolańczycy Pahrowie — Jan Baptysta, Franciszek i Dominik — najpierwsi architekci szwedzkiej epoki Wazów wstępują do jego służby; pracowali oni uprzednio przy budowie zamku w Brzegu na Śląsku oraz zamków w Schwerinie i Güstrowie w Meklenburgu. Sztuka dworska u księcia Jerzego II na Brzegu była widocznie pod wpływem Krakowa. Punkty styczne pomiędzy polską a szwedzką są niemniej liczne, co do jakości panują jednak większe różnice. Arkady podwórzowe zamku sztokholmskiego były bezpośredniem naśladownictwem tych, któremi Zygmunt I kazał ozdobić swoją rezydencję w Krakowie. Wiele innych podobieństw możnaby przytoczyć. I w ogólności odnajdujemy we włoskodostojnym stylu, który znalazł swój wyraz w wewnętrznej i zewnętrznej dekoracji zamków z okresu Wazów, odpowiednik artystycznych upodobań panujących na królewskim dworze Jagiellonów.

Gdy królowa Katarzyna w wieku lat 57 zmarła po życiu wypełnionem od zamążpójścia zgryzotą i niepokojem, jej szlachetna, konsekwentna postać dla wielu była zrozumiała. Andrzej Girs omawia jej śmierć w następujących słowach: „żegnał ją z żalem nie tylko król, któremu przez dwadzieścia lat była radością w trosce i szczęściu, w więzieniu i wspaniałości — dzięki swojej pokornej łagodności i dzięki dzieciom, ale i całe państwo, a szczególnie biedni i potrzebujący, dla których była wielce dobrotliwą i miłosierną królową".

Uppsala.

AUGUST HAHR

Przełożył St. Sawicki

WOLNA WSZECHNICA POLSKA

(W PRZEDDZIEŃ ROCZNICY TRZYDZIESTOLETNIEGO ISTNIENIA)

Pół wieku prawie mijało od zamknięcia ostatniej wyższej uczelni polskiej w Królestwie Kongresowem — Szkoły Głównej — kiedy, korzystając z ustępstw rządu rosyjskiego, spowodowanych rewolucją 1905 roku, grono najświatlejszych ludzi w Warszawie podjęło myśl zorganizowania stałych wykładów naukowych w zakresie uniwersyteckim.

W listopadzie 1905 r. myśl ta została zrealizowana przez założenie Towarzystwa Kursów Naukowych w Warszawie. Założycielami Towarzystwa byli: Karol Benni, Ignacy Chrzanowski, Samuel Dickstein, Piotr Drzewiecki, Aleksander Jabłonowski, Stanisław Kalinowski, Tadeusz Korzon, Leopold Kronenberg, Ludwik Krzywicki, Adam Antoni Kryński, Stanisław Leszczyński, Antoni Osuchowski, Henryk Sienkiewicz i Juljan Adolf Święcicki, a więc ludzie, którzy zajęli poważne stanowiska w historji kultury polskiej.

Celem nowozałożonego Towarzystwa było: 1) udzielanie wyższego wykształcenia i ułatwianie pracy naukowej osobom, posiadającym odpowiednie przygotowanie, i 2) rozpowszechnianie wiadomości naukowych wśród szerokich warstw społeczeństwa.

W ustawicznej walce z władzami rosyjskiemi, porając się, zdawało się, z nieprzezwyciężonemi trudnościami finansowemi, Towarzystwo powołało do życia w r. 1906 wydziały: matematyczno-przyrodniczy, techniczny, humanistyczny i rolny (1906—11), następnie ogrodniczy (1913—22), leśny (1916—20), oraz Instytut Pedagogiczny (1915).

Z pośród szeregu profesorów i wykładających na przestrzeni lat 1906 — 1916, dla zilustrowania poziomu naukowego, wymienię niektórych wykładowców z wydziału matematyczno-przyrodniczego i humanistycznego. A więc na wydziale matematyczno-przyrodniczym wykładali: Tadeusz Banachiewicz, Kazimierz Białaszewicz, Ryszard Błędowski, Józef Jerzy Boguski, Samuel Dickstein, Stanisław Glixeli, Jan Lewiński, Adam Mahrburg, Stefan Mazurkiewicz, Tadeusz Miłobędzki, Wacław Sierpiński, Jan Sosnowski, Kazimierz Stołyhwo, Ludwik Szperl, Stanisław Thugutt, Jan Tur, Józef Wierusz-Kowalski, Zygmunt Wóycicki i inni.

Na wydziale humanistycznym w tymże okresie spotykamy między innemi nazwiska następujących uczonych: Karola Appla, Benedykta Bornsteina, Bronisława Chlebowskiego, Ignacego Chrzanowskiego, Jana Władysława Dawida, Zofji Daszyńskiej-Golińskiej, Marcelego Handelsmana, Stanisława Kętrzyńskiego, Władysława Konopczyńskiego, Gabrjela Korbuta, Tadeusza Korzona, W. M. Kozłowskiego, Adama Antoniego Kryńskiego, Ludwika Krzywickiego, Jana Kucharzewskiego, Marjana Massoniusa, Ignacego Matuszewskiego, Stanisława Michalskiego, Henryka Mościckiego, Henryka Opieńskiego, Jakóba Segała, Józefa Siemieńskiego, Michała Sokolnickiego, Stanisława Szobera, Anieli Szycówny i Kazimierza Tymienieckiego.

Poza wydziałami powoływano do życia w różnych okresach czasu kursy specjalne, jak Kursy Politechniczne, Wieczorowe Kursy Techniczne, Kursy dla cukrowników, Wyższe Kursy Techniczne, Kursy dla inżynierów, Kursy Administracyjne i inne.

Mimo jednak istnienia faktycznie zorganizowanych wydziałów i pracy, prowadzonej na wysokim poziomie, T. K. N. musiało ukrywać swój charakter zorganizowanej uczelni, ze względu na wrogi stosunek władz rosyjskich. Starania, niejednokrotnie podejmowane, w celu zalegalizowania istniejącego stanu rzeczy i zatwierdzenia statutu „polskiego prywatnego uniwersytetu", stale były odrzucane lub odnosiły wręcz przeciwny skutek, jak np. domaganie się meldowania o poszczególnych wykładach, a nawet podawanie konspektu wykładów.

W czasie wielkiej wojny powszechnej, w styczniu 1915 r. Towarzystwo Kursów Naukowych powołało do życia „Komisję szkół wyższych", która miała przygotować zasady ustroju przyszłego wyższego szkolnictwa w Polsce. Na czele Komisji stanął W. Miklaszewski. Komisję podzielono na szereg sekcyj: ogólną, uniwersytecką, politechniczną, rolniczą, handlową i sztuk pięknych. Komisja, w której współpracowało około 150 specjalistów, ukończyła swe prace w sierpniu 1915 r. A kiedy Warszawę opuściły władze i wojska rosyjskie i ukonstytuował się Komitet Obywatelski, w którym powstał wydział oświatowy i sekcja szkół wyższych, Komisja przekazała jej wszelkie materjały, które, następnie uzupełnione, przyspieszyły otwarcie Uniwersytetu i Politechniki Warszawskiej, a z biegiem czasu — Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, przyczem znaczna część profesorów i wykładających na wydziałach Towarzystwa Kursów Naukowych została powołana na katedry nowo utworzonych szkół akademickich państwowych, pełniąc w części nadal swe obowiązki w Towarzystwie Kursów Naukowych.

Towarzystwo Kursów Naukowych, mimo pewnego ubytku w gronie wykładających, nie straciło nic ze swej siły żywotnej, tworząc w 1917 r. Szkołę Dziennikarską, w roku zaś 1918 Wydział Pedagogiczny.

Wreszcie w roku 1919 Towarzystwo Kursów Naukowych, przystosowując się do zmienionych warunków, przyjęło nazwę Wolnej Wszechnicy Polskiej, nadając równocześnie godność pierwszego członka honorowego Józefowi Piłsudskiemu, który w piśmie, skierowanem do Wolnej Wszechnicy Polskiej, oświadczył: „Z żywą radością przyjmuję ofiarowaną mi godność i składam szczere podziękowanie za to zaszczytne wyróżnienie na ręce Pana Rektora, Senatu i Zarządu Wszechnicy, która w krótkim stosunkowo czasie stała się poważną placówką pracy naukowej, przyczyniając się do utrwalenia fundamentów duchowego i kulturalnego odrodzenia Rzeczypospolitej".

Mimo powstania w Warszawie Państwowego Uniwersytetu, Politechniki, Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, — Wolna Wszechnica Polska, zorganizowana na wzór wolnego uniwersytetu, rozwija dalej swą działalność. Przedewszystkiem przychodzi ona z pomocą, dzięki wykładom odbywającym się stale w godzinach popołudniowych i wieczornych, tej rzeszy młodzieży, która po ukończeniu szkoły średniej — dzięki warunkom finansowym czy też innym okolicznościom — zmuszona jest rozpocząć pracę zarobkową, a tylko wieczory poświęcać może na dalsze kształcenie. A takiej młodzieży w miljonowem mieście jest bardzo dużo. Powtóre Wolna Wszechnica jako uczelnia prywatna jest bardziej elastyczna, szybciej i łatwiej przystosowuje swój aparat naukowy do potrzeb społeczeństwa i państwa, oraz może powoływać szereg studjów eksperymentalnych, dotychczas na uniwersytetach państwowych nieznanych, jak np. „Studjum Pracy Społeczno-Oświatowej", które przez szereg lat było jedynym wydziałem, dostarczającym pracowników Ministerstwu Opieki Społecznej, lub „Wydział Pedagogiczny", jedyny w Polsce, o którym Adolf Ferrière, dyrektor Międzynarodowego Biura Wychowania, w sprawozdaniu ze swego pobytu w Polsce, mówiąc o uniwersytetach, wyraził się następująco: „*Il nous resterait à parler des Universités. Les Universités officielles ne paraissent pas s'éloigner de la tradition européenne et font encore une place restreinte au travail personnel des étudiants. Mais l'Université libre a rompu avec cette façon de procéder et met en oeuvre les energies de ses élèves de la façon la plus brillante. Elle seule a organisé une Faculté des Sciences Pédagogiques qui forme des travailleurs pour tous les degrés de l'enseignement et pour les oeuvres de l'éducation peri- et postscolaire*".

Wreszcie, ponieważ fundusze państwowe nie są w stanie pokryć w chwili obecnej całego zapotrzebowania szkół wyższych (boć przecież trudno obronić twierdzenie, że w Polsce istnieje nadprodukcja inteligencji), Wolna Wszechnica uruchomiła przy poparciu Ministerstwa W. R. i O. P. oddział w Łodzi, mieście liczącem przeszło 500.000 ludności, a pozbawionem państwowej wyższej uczelni, ułatwiając w ten sposób licznym rzeszom młodzieży, nie mogącej przenieść się do miast akademickich, ukończenie studjów wyższych.

Wolna Wszechnica Polska jest uniwersytetem prywatnym, jakie na Zachodzie są zjawiskiem nietylko bardzo częstem, ale w pełni uznanem. Anglja, Francja, Austrja, Belgja posiadają takie uniwersytety prywatne, w Ameryce zaś niema uniwersytetów państwowych, a uniwersytety stanowe, miejskie i prywatne spełniają tam swe zadania bynajmniej nie gorzej od uniwersytetów państwowych Starego Lądu.

Obecnie Wolna Wszechnica Polska liczy cztery wydziały: matematyczno-przyrodniczy, humanistyczny, nauk politycznych i społecznych i pedagogiczny. Na wydziale matematyczno-przyrodniczym są zorganizowane następujące kierunki studjów: matematyczny, fizyko-chemiczny, biologiczny i geograficzno-geologiczny. Na wydziale humanistycznym istnieją trzy działy: historyczny, polonistyczny i filozoficzny. Na wydziale nauk politycznych i społecznych są sekcje: prawna i ekonomiczna. Na tym wydziale istnieje również grupa nauk samorządowych. Wydział pedagogiczny posiada dwa działy: pedagogiczny i Studjum Pracy Społeczno-Oświatowej.

Skład osobowy obejmował w roku akademickim 1933/34 — 71 profesorów i 42 docentów, a w tej liczbie 22 profesorów i 22 docentów uczelni akademickich państwowych. Ilość słuchaczów wynosiła w tymże roku 1104, w tem zwyczajnych ze świadectwami dojrzałości 547, rzeczywistych (słuchacze dawnego typu, przyjmowani na podstawie egzaminu wstępnego) 416 i wolnych 141.

Na podstawie rozporządzeń Państwowych Władz Polskich ukończenie dwuletniego Kolegjum wydziałów: pedagogicznego, humanistycznego i matematyczno-przyrodniczego daje słuchaczom uprawnienia równorzędne ukończeniu Państwowego Instytutu Nauczycielskiego lub Pedagogjum; ukończenie czteroletniego studjum po złożeniu przepisanych egzaminów na wszystkich wydziałach — prawa urzędników pierwszej kategorji w służbie państwowej; a ukończenie czteroletniego wydziału humanistycznego lub matematyczno-przyrodniczego i pedagogicznego — prawa równorzędne ze złożeniem egzaminu magisterskiego w wyższych uczelniach państwowych, uprawniające do składania egzaminów na nauczycieli szkół średnich.

Ustawa o szkołach akademickich z dnia 15 marca 1933 r. zaliczyła Wolną Wszechnicę Polską do rzędu prywatnych szkół akademickich. Nadanie statutu oraz uprawnienie do nadawania tytułu magistra zakończy zewnętrzną organizację Wolnej Wszechnicy Polskiej, która dobrze zasłużyła się i dobrze służy kulturze polskiej.

STEFAN TRUCHIM

PRZED ROKIEM W MOSZCZANICY

8.IX—8.X-1934

Najpiękniejszy miesiąc jesieni 1934 roku spędził Marszałek Piłsudski w Moszczanicy. Jakby pożegnać się chciał z Polską w tę ostatnią jesień swego życia, spędził ją nie w uzdrowisku modnem, czy pałacu pańskim, ale we dworze ziemiańskim, w typowym polskim dworze...

Przyjechał Marszałek do Moszczanicy dnia 8 września 1934 r. i bawił tutaj równo miesiąc, do 8 października. Sam sobie dwór tutejszy z przedstawionych Mu fotografij wybrał na pobyt urlopowy. Dwór — jakich wiele w Polsce... Do wyboru przyczyniło się i położenie piękne, park o równym terenie, dogodnym dla spacerów, i klimat — wykazujący w tych okolicach Polski w miesiącach wrześniu i październiku najwięcej dni ciepłych, a najmniej deszczowych.

Leży dwór moszczanicki, własność p. Władysława Kępińskiego, w krakowskiem, o 5 klm. od starego, historycznego miasta Żywca. Żywiec, należący dawniej do książąt Oświęcimskich, kupił od nich w r. 1457 król Kazimierz Jagiellończyk i nadał Komorowskim. W XVII wieku dziedziczą go Wielopolscy, w połowie zaś XIX wieku kupuje dobra żywieckie arcyksiążę austrjacki Albrecht Habsburg, w którego rodzinie do dzisiaj one pozostają.

Razem z Marszałkiem przebywali w Moszczanicy płk. dypl. Strzelecki, mjr. dypl. Strugała, mjr. dypl. Szostak, kpt. dypl. Wojciechowski i kpt. dypl. Smoleń. Nietylko bowiem na odpoczynek przyjechał On tutaj. Odbyła się również w tym czasie i gra wojenna z oficerami, na nią wezwanymi.

O pobycie Marszałka w Moszczanicy drukował kpt. M. B. Lepecki kilka feljetonów w *Gazecie Polskiej*, we wrześniu i październiku 1934 r., i w jednym z nich w ten sposób opisuje dzień Marszałka: „Marszałek budzi się późno, jest przecież na odpoczynku. Około dziesiątej służący przynosi herbatę i stawia na stoliku przy łóżku, obok kładzie gazety...". Skądinąd wiemy, że gazetą stale czytywaną przez Marszałka i prenumerowaną dla niego był *Express Poranny*. Przerzucał go, czytał tytuły artykułów, potem dopiero jadł śniadanie.

Koło dwunastej udawał się Marszałek na „obchód" parku. „Zwolna — pisze Lepecki — przechodzi uliczkę po uliczce, obchodzi klomby, zagląda do wszystkich kątów. Nie lubi, żeby Mu kto towarzyszył. Chodzi sam. Już w pierwszy dzień po przyjeździe zastrzegł się wyraźnie: „Tylko nie łaźcie za mną po ogrodzie, nie lubię tego...". — Czasem jednak pozwala. I wówczas wskazuje ciekawsze krzaki i kwiaty, które zaobserwował poprzednio, porównuje z Pikieliszkami i Sulejówkiem... W parku interesuje się wszystkiem. Przystaje na długie chwile przy klombach kwiatowych, to znów grzędach w warzywniku...".

Nadzwyczajna dokładność Marszałka nie pozwalała Mu nawet błahych spraw ogrodowych traktować pobieżnie. O nazwy kwiatów pytał często i żądał dokładnych określeń. Jedno z drzew zainteresowało Go tak, że gałązkę z niego kazał zabrać do Warszawy. Innego nazwę znowu *(Prunus*















cerosifera nigra) do dzisiaj możemy czytać zapisaną w notatniku jednego z oficerów, obecnych wówczas we dworze. O liściach tego drzewa (ładnych, fioletowawych) mówił Marszałek z p. Kępińskim na dworcu, w czasie herbaty, na którą właścicieli Moszczanicy, z córkami, zaprosił do salonki.

Szereg cały fotografij mamy z owych dni. Są one doskonalą ilustracją życia. Chodzi sobie oto po parku stary, siwy pan — gospodarstwem się interesuje, On — Gospodarz Polski... Drzewa ogląda i kwiaty bierze do rąk... Ptaszkom się przypatruje małym...

Trzeba jeszcze jeden ustęp z feljetonów Lepeckiego przytoczyć: „Dziwne są te wypoczynki Marszalka. Niby to urlop, ale „drzwi się nie zamykają", a książki i papierzyska z biurka nigdy nie znikają...".

Oprócz jednak „papierzysk", ważnych niewątpliwie, i książek wojskowych poważnych — wiemy, że czytał Marszałek w Moszczanicy i książkę... Zygmunta Nowakowskiego *Przylądek Dobrej Nadziei*. Śmiał się nad nią i mówił nawet o niej: „bardzo zabawna książka"...

W ciągu miesiąca różne się przeżywa chwile... Do Moszczanicy przyszła wieść o śmierci gen. Juljana Stachiewicza. Plk. Strzelecki dostał o niej telefoniczną wiadomość wieczorem. Rano dopiero jednak zameldował, co się stało.

Zamyślił się Marszałek, ukrył twarz w dłoniach i rzekł: „Tak... szkoda Julka, taki zdolny...". I opowiedział potem pułkownikowi, że poprzedniego wieczora, gdy kładł pasjansa, coś stukało w stoliku, a gdy przeszedł już do sypialni, to w sąsiednim pokoju usłyszał takie stąpanie, że zajrzał doń, myśląc, że ktoś tam jest obecny... „Teraz wiem, to on chciał pożegnać swego Komendanta" — zakończył rozmowę. Wspomniał potem jeszcze Marszalek, że podobne objawy zauważył też w dniu śmierci plk. Dlużniakiewicza (który utonął w Sanie).













Mimo „urlopu“ załatwiał Marszałek w Moszczanicy ważniejsze sprawy państwowe, przyjmował dostojników. Przyjął też dn. 30 września zwycięzcę w challenge'u, kpt. Jerzego Bajana, który ogłosił drukiem doskonały opis swego kilkugodzinnego pobytu w Moszczanicy. Kończy zaś swoje wspomnienie kpt. Bajan tak: „Odjeżdżamy... wioząc ze sobą najpiękniejsze wspomnienia i świadomość, że wśród wszystkich radości nie było piękniejszej. Nie to, że byliśmy przyjęci przez Pana Marszałka, bo to był wielki zaszczyt, ale nagrodą było to, że potrafiliśmy wywołać na Jego twarzy taki wyraz zadowolenia i tak serdeczny uśmiech...“. Istotnie radosny i dobry uśmiech ma Marszałek na fotografji wspólnej z kpt. Bajanem i towarzyszem jego, sierż. Pokrzywką.

Ale kpt. Bajan zaobserwował też rzecz smutną: zmęczenie w twarzy Marszałka. Była to już może zapowiedź choroby śmiertelnej. Chociaż w Moszczanicy Marszałek był zdrów zupełnie, codziennie mierzona temperatura raz tylko była nieco podwyższona, lekarza nawet nie wzięto tutaj ze sobą.

°

Dzisiaj nie możemy na te fotografje z Moszczanicy patrzeć bez wzruszenia.

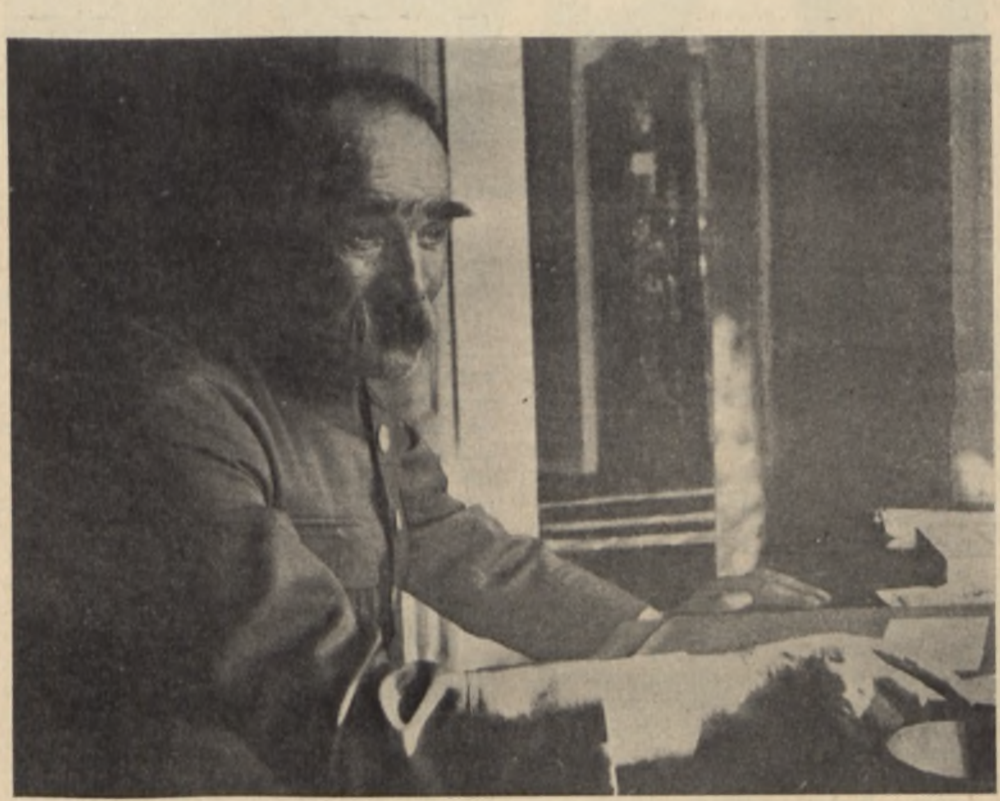
Oto złocista, piękna, prawdziwie polska jesień... Jego ostatnia... Oto, obchodząc park i łany moszczanickie, jakby żegna się Marszałek z Polską całą. Jakże wzruszające jest to, nieco niezrozumiałe zdjęcie, które Go przedstawia wybierającego się gdzieś z węzełkiem w ręce... Jakby miał iść w daleką jakąś podróż...

W podróż, w którą odszedł siedem miesięcy później...

R. W. HOROSZKIEWICZ

Fot. M. B. LEPECKI

















Marszałek w gronie oficerów w Moszczanicy



Tablica pamiątkowa w Moszczanicy

VI ZJAZD HISTORYKÓW POLSKICH

Spokojne zwykle ulice Wilna ożywiły się i zaroiły niedawno przybyszami ze wszystkich stron Polski. To kilkuset historyków zjechało na swój sejm, by rozważać i dyskutować nad ważniejszemi zagadnieniami, tyczącemi się ich specjalności. Dnia 17 września odbyło się uroczyste otwarcie VI powszechnego zjazdu historyków polskich w sali Śniadeckich Uniwersytetu Stefana Batorego. Po zagajeniu prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego, prof. Stanisława Zakrzewskiego, obrany prezesem zjazdu rektor Kutrzeba przedstawił w ogólnym zarysie niektóre ważniejsze wydawnictwa i prace, jakie ukazały się w zakresie naszej historji w ciągu ostatnich pięciu lat, — poczem przemówienia powitalne rozpoczął p. minister W. R. i O. P., podkreślając, że obecnie „trzeba od historyka wymagać, aby umiał, a przedewszystkiem, aby chciał przedstawić tę historję taką, jaką istotnie była. Tu trzeba charakteru człowieka, który z całem swem naukowem przygotowaniem, wyczuć potrafi w historji naszej wielkość i godność i któremu, przy jego twórczej pracy nad manuskryptem i dokumentem, pierś rozsadzać winno uczucie dumy, że jest Polakiem i że pisze historję swego narodu“. Na zakończenie tego inauguracyjnego posiedzenia prof. Kolankowski wygłosił odczyt p. t.: *Jagiellonowie wobec Unji polsko-litewskiej*. Następnie rozpoczęły się właściwe obrady w sekcjach, które trwały cztery dni.

Zjazdy historyków, odbywane obecnie co pięć lat, mają doniosłe znaczenie, gdyż są niejako rachunkiem sumienia z tego, co dotąd zdziałano w poszczególnych dziedzinach historjografji, a zarazem nakreślają program prac na przyszłość, stawiając różne dezyderaty, w jakim kierunku mają pójść dalsze badania, jakie są najpilniejsze potrzeby naszej nauki, co należy przedewszystkiem opracować. Otóż ostatni zjazd zajmował się głównie stosunkami polsko-litewskiemi. Obrady jego toczyły się w ośmiu sekcjach: historji politycznej, prawa, społecznej i gospodarczej, kultury, wojskowości, nauk pomocniczych historji, historji starożytnej, wreszcie nauczania historji.

Wymownym dowodem zainteresowania, jakie wzbudził ten zjazd, była poważna ilość zgłoszonych referatów — bo dochodziła do 80. Ilość ta jest i z tego powodu znamienna, że dobór tematów nie był pozostawiony woli autorów. Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Historycznego, chcąc nadać zjazdowi wysoki poziom i bardziej jednolity charakter, zgóry ułożył szczegółowe zestawienie tematów — takich tylko, które mają wyłącznie zasadnicze znaczenie, i postarał się też o przygotowanie koreferatów i dyskusyj. Skutkiem tego, wykluczone zostały referaty, nie związane ściśle z wyznaczonemi tematami lub mające charakter przyczynkowy. Prawie też wszystkie, z wyjątkiem nienadesłanych w porę, zostały wydrukowane w *Pamiętniku Zjazdu*, który już na pewien czas przed Kongresem został rozesłany jego uczestnikom — co ułatwiło zapoznanie się dokładniejsze z referatami i przyczyniło się w wysokim stopniu do ożywienia dyskusji. Istotnie stała ona na wysokim poziomie, a nieraz nawet ostro ścierały się poglądy. Polemiki niekiedy tak się zaogniały i przedłużały, że zabrakło czasu na wygłoszenie kilkunastu referatów, które wobec tego musiały spaść z porządku dziennego.

Nie mogąc w tem krótkiem tylko sprawozdaniu z prac zjazdowych, omówić wszystkich wygłoszonych tam, tak licznych referatów, z konieczności muszę ograniczyć się jeno do wymienienia najważniejszych i najciekawszych. Największa ich liczba zajmowała się historją polityczną. Na czoło ich wysunął się szereg referatów, omawiających przegląd dziejów Litwy od czasów najdawniejszych aż po r. 1905. Liczne też audytorjum zgromadził odczyt prof. Handelsmana p. t.: *Problem słowiański w polityce polskiej XVIII i XIX wieku.* Na sekcji historji prawa duże zainteresowanie wywołał referat rektora Kutrzeby: *Charakter prawnego związku Polski z Litwą.* Z problemów, omawianych na sekcji historji społecznej i gospodarczej, bardzo ważne zagadnienia z naszej przeszłości poruszali: prof. Bujak *(Źródła do historji ludności w Polsce)*, prof. J. Rutkowski *(Badania nad dochodami wielkiej własności ziemskiej w Polsce w czasach nowożytnych)* i prof. Arnold *(Historja cen w dawnej Rzeczypospolitej).* Życie umysłowe na Litwie, dzieje kościoła i reformacji — były głównemi tematami, omawianemi na posiedzeniach sekcji historyków kultury. Najskromniej przedstawia się historja wojskowości, gdyż z tej dziedziny wygłoszone zostały tylko dwa referaty, wywołały one jednak tak ożywioną dyskusję, że każdy z nich wypełnił jedno posiedzenie. Szereg spraw przeważnie z dziedziny archiwistyki i wydawnictwa źródeł poruszony został na posiedzeniach sekcji nauk pomocniczych historji. Tak zdawałoby się dla nas odległe tematy z zakresu historji starożytnej przecież wywołały duże zainteresowanie — między innemi także i z tego powodu, że niektóre z nich poruszały i dziś jeszcze aktualne zagadnienia, jak dyktatura i cezaryzm (referaty prof. Wałka-Czarneckiego i dr. Zmigrydera-Konopki). Wreszcie ważnym problemem, jak kształcić młodzież w nauce historji, zajmowała się sekcja dydaktyczna.

Do najciekawszych, dla szerszych nawet kół, odczytów, mających zarazem ogólniejsze znaczenie, należy zaliczyć referat prof. Górki p. t.: *Optymizm a pesymizm w historjografji polskiej. Odwrócenie pojęć.* Zajął się on kwestją już oddawna poruszaną w naszej historjografji, mianowicie ustaleniem przyczyn upadku Polski: wystąpił bardzo ostro przeciw kierunkowi, reprezentowanemu przez Balzera i Askenazego i in., t. zw. optymistycznemu, który upadek Polski przypisywał głównie winie obcych (zaborczości państw sąsiednich). Uznał go za „pogląd fatalistyczny, defetystyczny, uzależniający byt Państwa Polskiego, jako takiego, od obcych czyli kwestjonujący wogóle stałość i rację bytu Państwa Polskiego“ — a przez to wywierający obecnie ujemny wpływ na polską umysłowość. Natomiast w zupełności podziela pesymistyczne tezy t. zw. szkoły krakowskiej (Kalinka, Szujski, Bobrzyński), która twierdziła, że wina upadku tkwi w nas samych. Powtarza to samo i Górka, mówiąc, że „upadliśmy z własnej winy, nie znalazłszy człowieka, któryby umiał ciężką, a potem rozpaczliwą sytuację opanować i rozegrać w zwycięskiej obronie, ani nie wytworzywszy chociażby zaradczego zrębu ludzi politycznie i wojskowo przygotowanych, by aktu ratowania państwa dokonać“. W toku zaś dalszych swych wywodów wysuwał on śmiałą koncepcję, że w ciągu ostatnich 150 lat charakter narodowy uległ wielkim przeobrażeniom, że doszliśmy do tak wysokiego poziomu intelektualnego i kulturalnego, że „powstaliśmy z własnej zasługi, znalazłszy człowieka, który potrafił zarówno przygotować jak zwycięsko rozegrać grę o Polskę i jej granice“. Tezy te zostały silnie zaatakowane w dyskusji, jaka się następnie rozwinęła, przez prof. Haleckiego, Konopczyńskiego, Tymienieckiego i Adamusa. Podniesiono, że wyrządził on niezasłużoną krzywdę dawniejszym badaczom, pomawiając ich o jednostronne tylko naświetlenie winy upadku Polski, gdyż rozpatrywali oni te sprawy znacznie szerzej, rozkładając tę winę zarówno na nas, jak i na obcych. Uchylono też zarzut braku metody i logiki w pracach dawniejszych badaczów, oraz świadomego i celowego okłamywania przez nich narodu. Co więcej, nawet zarzuty te odwrócono przeciw ich autorowi, zaznaczając, że właśnie on informuje nie tak, jak było, ale tak jak należy społeczeństwo pouczać, i że właśnie pogląd co do ostatniej tezy o powstaniu Państwa Polskiego jest skrajnie optymistyczny i romantyczny. Podniesiono też, że niema żadnej łączności przyczynowej między upadkiem a powstaniem Państwa Polskiego. Podkreślono wreszcie, że aczkolwiek tezy prof. Górki mają wartość, jako że pobudzają do myślenia, przez swe rewizjonistyczne tendencje, to jednak z powodu nazbyt uogólniającego charakteru zaliczyć je należy raczej do publicystyki niż do nauki. Wobec niekiedy biegunowej sprzeczności między poglądami prof. Górki a biorącymi udział w dyskusji — kwestja winy upadku Polski pozostała nadal otwarta.

Bardzo ciekawym przykładem wprowadzenia medycyny do badań historycznych był referat dra Ziembickiego p. t.: *Barbara Radziwiłłówna w oświetleniu lekarskiem.* Wyniki badań autora podważają sądy o tej królowej, uchylają bowiem w dużej mierze zarzuty o życiu rozwiązłem, jakie rzekomo miała prowadzić, wysnute z szeregu pism współczesnych, ludzi przeważnie dla królowej wrogo lub niechętnie usposobionych. Wobec więc niedawno odnalezionych szczątków Barbary, które z zapomnienia znowu dostały się na miejsce honorowe, podjęty został proces jej rehabilitacji.

Na ostatniem plenarnem posiedzeniu odbytem 20 września rektor Kutrzeba omówił rezultaty poszczególnych sekcyj, oraz poddał pod głosowanie szereg rezolucyj, które w przeważnej części odnosiły się do podjęcia różnych wydawnictw, jak np. rachunków sejmowych, traktatów międzynarodowych, korespondencji Lelewela, i t. p. Uchwalono też, że najbliższy zjazd ma się odbyć w r. 1940 we Lwowie.

Prócz tej ściśle naukowej części, uczestnicy zjazdu złożyli zaraz na wstępie swych obrad hołd Sercu Marszałka Piłsudskiego, a następnie wzięli udział w nabożeństwie żałobnem za gen. J. Stachiewicza, odprawionem w rocznicę jego śmierci, w kościele św. Teresy. Wielki historyk, Lelewel, którego zasługi niejednokrotnie podnoszono w toku obrad, uczczony został wieńcem, złożonym na jego grobie, na Rossie. W miłem wspomnieniu uczestników pozostanie wycieczka do Trok, widok potężnych ruin zamku na wyspie jeziora, oświetlonego jesiennem słońcem, dalej serdeczne przyjęcie przez mieszkańców Wilna, raut we wspaniałych salach pałacu reprezentacyjnego, czarna kawa u rektora, otwarcie wystawy bibljotecznej, a wreszcie poświęcenie gmachu Archiwum Państwowego.

Oficjalne zakończenie obrad odbyło się wprawdzie w Wilnie, ale większość uczestników udała się jeszcze 21 września do Grodna, tego wyjątkowego miasta, w którem mieszczą się cenne zabytki architektury od zarania naszych dziejów po przez czasy Stanisława Augusta aż do współczesności. Tam bowiem odbyło się uroczyste otwarcie oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, zainaugurowane odczytem prof. St. Kościałkowskiego p. t.: *Rzut oka na działalność Antoniego Tyzenhauza podskarbiego nadwornego litewskiego.*

Zjazd historyków w Wilnie udał się pod każdym względem bardzo dobrze. Na dodatnie rezultaty złożyły się: wysoki poziom referatów i dyskusyj, a nie mało też przyczyniła się wyborna organizacja zjazdu.

BRONISŁAW PAWŁOWSKI

SVIO ESTONICA

Wiele się zmieniło w dziejach politycznych państw nadbałtyckich od czasu ambitnych planów Gustawa Adolfa i królów Szwecji mocarstwowej, dążących do uczynienia z Bałtyku morza szwedzkiego. Pogrzebawszy miecz, stała się Szwecja w ciągu ostatniego wieku w całem tego słowa znaczeniu mocarstwem kulturalnem, co uwidocznia się w dniach dzisiejszych bodaj najplastyczniej w sile przyciągającej, wywieranej na pomniejsze państwa nadbałtyckie. Wskutek specjalnych warunków politycznych tak Estonja jak Litwa i Łotwa coraz bardziej kulturalnie zaczynają ciążyć ku Szwecji. Sama Szwecja, choć daleka od zamiarów zaborczych nawet na polu kulturalnem, odruchy te wita z sympatją, nie szczędząc przytem poparcia. Organami zbliżenia ze strony szwedzkiej jest więc Instytut Bałtycki w Sztokholmie, lektoraty przy uniwersytetach bałtyckich, współpraca na różnych polach m. in. archeologji, wreszcie częste wizyty naukowe z obu stron, wśród których szczególną uwagę zwraca np. udział Litwinów na obecnie odbywającym się w Sztokholmie *nordyjskim* kongresie szkolnym.

Stwierdzić należy, że w tych zainteresowaniach szwedzkich Estonja gra największą rolę. Łączą ją także ze Szwecją najściślejsze stosunki jako byłej prowincji szwedzkiej w wiekach ubiegłych, obecnie zaś z powodu szwedzkiej mniejszości zamieszkującej jej brzegi, wynoszącej ok. 7500 osób. Niema się też co dziwić, że Tartu posiada w Profesorze Per Wieselgrenie nauczyciela języka i literatury szwedzkiej oraz kierownika Szwedzko-Estońskiego Towarzystwa *(Svensk estniska Samfundet)*, które w ostatnich tygodniach wydało tom drugi swego rocznika *Svio Estonica* (Tartu 1935). Treść broszury referuję z obszernych recenzyj zamieszczonych w paru większych gazetach szwedzkich, sądząc, że może ona zająć i polskie sfery czytelnicze. Po artykule sprawozdawczym, zapowiadającym ukazanie się słownika szwedzko-estońskiego (zasiłek 7500 kor.), utworzenie instytutu naukowego oraz podkreślającym konieczność opieki nad mniejszością szwedzką w Estonji, następują artykuły mag. P. Ariste o konserwatyzmie głosowni dialektów szwedzkich w Estonji oraz prof. Tammekanna o osadnictwie szwedzkiem. Dalsze artykuły poświęcone są roli Szwedów w dziejach narodu estońskiego: tak więc omówiona jest pieśń ludowa, w której odbija się echo wielkiej wojny północnej jako krzyk rozpaczy gnębionego chłopa, kontrastujący z błogiem przypominaniem minionych złotych czasów pod panowaniem szwedzkiem, artykuł, który znajduje swoje historyczne uzupełnienie w tezie archiwarjusza A. Pevandisa o „prawie szwedzkiem“, które ponoć w Estonji miało znacznie łagodzić powszechny w siedemnastowiecznej Europie ruch komasacji majątków ziemskich na niekorzyść ludności wiejskiej. Jest dalej w roczniku omówiona kwestja znaczenia Niemców i Szwedów dla zachowania odrębności narodowej estońskiej, do czego to wedle doc. H. Seppsa i wojny w drugiej połowie XVI w. miały się przyczynić. Jeden z artykułów rocznika stwierdza, że Estonja zawdzięcza swoje związanie się z światem zachodu panowaniu szwedzkiemu i polskiemu. Na zakończenie stwierdza wreszcie doc. E. Kant znaczenie Bałtyku jako wewnętrznego morza bałto-skandyjskiego oraz naturalną łączność Bałto-Skandji „przeciwko otaczającym i liczbowo silniejszym narodom i ich kuszącej, uwodzącej kolektywistycznej mitologji“.

STANISŁAW SAWICKI

Lund w sierpniu.

SZTUKA I ANTENA

WYMYŚLILIŚCIE PSA — WYMYŚLCIE KAGANIEC!

Walnym argumentem za dyktaturą jest konieczność uwolnienia ludzkości z pod jarzma rozbestwionego technicyzmu. Ale na to nie zwraca się uwagi w zamieszaniu komplikacyj politycznych i kłopotów, że tak powiem, pierwszej potrzeby. A przecież barbarzyńskiego najazdu techniki nie powstrzyma ani zdrowy rozsądek ludzki, ani żadne spokojne perswazje i wskazówki. Tu mogą odnieść skutek tylko nakazy. Trzeba kazać ludziom, by nie stali się bydlętami, powiedziałby ostatni z rasy wielkich romantycznych entuzjastów, prof. Herbaczewski.

To się ruszyło w wieku dziewiętnastym. Fala odrazu tak się spiętrzyła i wybujała, że ani się człowiek spostrzegł, jak wpadł po uszy w niewolę maszyny. Zaczęło się od niewinnej i — „jakże pożytecznej!" — kolei żelaznej. Potem: samochód, aeroplan, elektryfikacja — wreszcie radjo. Każdy z tych wynalazków jest dobrodziejstwem — i plagą. Ułatwieniem życia, doskonałym sposobem zaoszczędzenia wysiłku — ale też źródłem zbydlęcenia, usprawnienia, rozpanoszenia się komiwojażerskiego stosunku do dóbr kulturalnych.

Ale mówmy o radju. Będę mówił poprostu, wrażeniami. Idę polem i słyszę Beethovenowskiego *Coriolana*. Aha, to ze dworu. Dwór rozsiewa kulturę muzyczną po wsi. Jak to ładnie: radjo nawet tutaj, w tym zakątku! Jak ten lud się umuzykalni! I to tak, odniechcenia, zabawką, nie odrywając się od zbożnej pracy. — Tak to się mówi w Polsce, i dostojni obywatele szlachetnie kiwają głowami.

Gdy się jednak zastanowimy uczciwie nad tym Beethovenem hulającym po polach i łąkach, ku zdziwieniu zacnych krówek polskich, których kosmatych uszu też przecie nie omija — poczyna w nas rosnąć sceptycyzm. Czy to jednak naprawdę jest tak pięknie?

I tu otwierają się dwie serje argumentów. Pierwsza, to argumenty higjeny, druga: obrony praw jednostki. A więc zauważymy ze słusznością rzecz tylekroć powtarzaną, a tak lekkomyślnie lekceważoną, że np. dla mieszkańca miasta, który ucieka na wieś od zgiełku stolicy, dla którego wypoczynek w ciszy jest nieodzownym warunkiem jakiegokolwiek odprężenia nerwów, taki Beethoven, prześladujący go po polach i wsączający mu w uszy strumyki swej cudnej — w innych warunkach — muzyki, staje się znienawidzonym ciemiężycielem. Można znienawidzić nietylko Beethovena, ale samo życie, które odmawia człowiekowi prawa do wypoczynku w ciszy. Przykład tego pana z Ameryki, który rozwalił swój odbiornik radjowy wystrzałem z rewolweru, powinien być wystarczającem ostrzeżeniem dla ludzi, władających tym tajemniczym instrumentem, który równocześnie potrafi głosić budujące powiastki dla dzieci i zabijać dorosłych... Jeśli się tak dużo mówi o higjenie społecznej, o potrzebie jej organizowania, to przedewszystkiem należałoby jakoś unormować wolność radjową obywateli.

Nastręcza się tu inne jeszcze zagadnienie, wchodzące w zakres pojęć moralnoprawnych. Mianowicie radjo stworzyło nową postać gwałtu nad jednostką: *przymus słuchania*. Powie mi kto, że to nie nowe. Czyż dawno przed radjem nie byliśmy narażeni na przymusowe słuchanie tego, czego nie chcieliśmy słyszeć. Klekot maszyn do pisania, odgłosy trąbek samochodowych, ba nawet poczciwe chrapanie sąsiada przez ścianę. Zapewne, ale tamten przymus był usprawiedliwiony pewnemi koniecznościami społecznemi. Istnieją urzędy, biura — więc stukają maszyny. Istnieją samochody, muszą więc istnieć sposoby sygnalizowania ich bliskości. A cóż dopiero taki poczciwy refleks znużonego organizmu ludzkiego, jak chrapanie. Czy na to można się oburzać? Przymus radjowy jest innego, zupełnie nowego typu. Ma w sobie coś z lekkomyślnego okrucieństwa tyranów starożytności, którzy dla zabawy rzucali ludzi lwom na pożarcie. — Nie można bowiem przytoczyć ani jednego argumentu za objektywną społeczną koniecznością puszczania po polach dźwięków dziewiątej symfonji Beethovena. Ten kto powoduje ten rozlew dźwięków, działa tylko dla własnej przyjemności, a wiec dla dobra czysto indywidualnego. Logika nakazuje, aby to, co z założenia zaspokaja tylko aspiracje indywidualne pewnych ludzi, nie było źródłem udręczenia dla *innych*. Aby słowem cudza przyjemność nie była źródłem mojej przykrości. To *junctim* jest naturalne i zdrowy rozsądek ludzki domaga się tu zadośćuczynienia.

Ale nie na tem koniec. — Radjo — to dziś wielki problemat kulturalny. Dobrodziejstwa radja są powszechnie znane i szeroko omawiane, pomówmy dziś o jego niebezpieczeństwach.

Radjo puszczone samopas, niekontrolowane co do zasięgu swego oddziaływania, staje się potężnym bastjonem kultury eklektycznej, pojętej ilościowo, tej kultury, której zawołaniem jest „oświata", wlewana ludziom przymusowo do gardła (oświata w znaczeniu szerszem naturalnie, niż racjonalny przymus szkolny). Kto ma ten ilościowy stosunek do kultury, tego oczywiście nic nie powstrzyma od ładowania Beethovena czy Wagnera codzień na funty w cierpliwe uszy obywatelskie. Postępowanie swoje usprawiedliwi takiem oto rozumowaniem. Beethoven jest wielkim muzykiem, a więc jego twórczość odpowiada pojęciu „wielkiego dorobku kulturalnego". A skoro tak, to należy zapoznać z nią najszersze masy.

Mam jednak wrażenie, że człowiek obdarzony wrażliwością muzyczną nigdy się z takiem rozumowaniem nie zgodzi. Jednorazowe usłyszenie *Coriolana* wśród pól, przy akompanjamencie ryku krów zorjentuje go wystarczająco w sytuacji. Chodzi tu o coś więcej niż o „przeszkadzanie", o to, że słuchanie muzyki wymaga ciszy. Wchodzi tu w grę ważniejszy moment psychologiczny, mianowicie zaszczepienie nawyku słuchania muzyki byle gdzie i byle jak.

Muzyka staje się towarem hurtowym, motywy z Wagnera, Chopina czy Beethovena zaczyna się nucić i gwizdać niby aryjkę z „Wesołej wdówki" czy modne tango. Beethoven „wpada w ucho", staje się jakimś ochłapem muzycznym, nastręcza obsesję dźwiękową, taką jak odgłos trąbki samochodwej lub dzwonek telefonu. Dziś to jeszcze pól biedy, ale niech potanieją głośniki: co wtedy?

Umyślnie wciąż wracam do Beethovena.

Nietylko dlatego, żeby się przypodobać Hulewiczowi; nawet nie dlatego, że jestem gorącym entuzjastą wielkiego muzyka, ale dlatego głównie, że przykład Beethovena jest mi tu szczególnie przydatny. Bo czyjaż twórczość lepiej unaoczni rozbieżność między muzyką, taką jaka jest w swej postaci autentycznej, u źródeł twórczych, a tą sieczką muzyczną, która rozsypuje się po polach i lasach za lekkomyślnem pociśnięciem guzika w odbiorniku radjowym. Rozbieżność — to mało, to za słabe słowo: antagonizm, walka na śmierć i życie! Bo ta muzyka w istocie swojej jest wyrazem wielkiego skupienia indywidualności. Podawanie jej „na wynos", byle jak, byle kiedy, byle komu — jest zaprzeczeniem jej istoty, jest czemś jak próba podania lodu na gorąco albo ognia na zimno. Ta muzyka ma swój sens tylko wtedy, jeżeli słuchacz podejmie ją w sobie w jej postaci nieskażonej, jeśli nauczy się współbrzmieć z nią duchowo. Podana „na lekko" traci wszelką wartość. Nie jest wtedy ani muzyką rozrywkową, ani muzyką „prawdziwą", wielką. Jest tylko natrętną obsesją muzyczną. Takie mieszanie klimatów jest oznaką prostactwa i kryje w sobie zalążki groźnego barbarzyństwa. Ten szał popularyzacji mija się zresztą z celem. Bo Beethovena przez to nikt *nie poznał*. Dotarły tylko do uszu ludzkich jakieś strzępy motywów Beethovenowskich, które słuchacz przełknął, jak łyżkę zupy, i z któremi się niedorzecznie spoufalił. A może kapłani popularyzacji zadowoleni są z tego — kto ich wie?

Ale nietylko Beethoven został skrzywdzony. Zostały skrzywdzone również pola, lasy, łąki — i krowy. Nie wiem jak inni, ale ja się rumieniłem, słysząc dźwięki poważnej Beethovenowskiej muzyki wśród rozkosznego harmidru słonecznej, wesołej wsi. Byłem zażenowany i za muzykę i za wieś. Zetknięcie się tych światów miało w sobie coś ze spotkania dwu ludzi, wyrwanych z różnych środowisk, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia i zawstydzeni idą obok siebie, niezdarnie potrącając się łokciami.

Cóż jednak te wszystkie uwagi znaczą dla „ilościowców" i dla hurtowników kultury? Ale sprawa nie jest przegrana.

Niwelacyjny technicyzm — stempla bolszewickiego — jest już mocno skompromitowany; odpływ masówki kulturalnej poczyna się zaznaczać. Wśród innych zaczyna się wynurzać trudne zagadnienie radja. Jak sprawić, by stało się naprawdę instytucją kulturalną, a nie tubą wulgaryzacji?

Przedewszystkiem droga techniczna. Skoro udał się ten „cud" techniczny, że zbudowano instrument przerabiający fale elektromagnetyczne na dźwiękowe, czemużby nie miał się udać kontr-cud w postaci wynalezienia instrumentu rozpraszającego te fale? Może niedaleki jest już czas, kiedy człowiek łaknący wypoczynku i ciszy będzie nosił w kieszeni mały instrumencik, który niby łańcuch złego psa, trzymać będzie na uwięzi rozhukane fale radjowe — coś w rodzaju kieszonkowego filtru.

Ale to jest fantazjowanie. „Narazie" chodziłoby o jakąś normalizację wzburzonej fali radjowej, o zbudowanie racjonalnej tamy. Ba, gdyby nawet wynaleziono ów „bezpiecznik", to i wtedy należałoby jeszcze ludzi nauczyć, by woleli z radja korzystać rozumnie, a nie chaotycznie i po barbarzyńsku. Rozwiązanie tego zagadnienia może być tylko przedmiotem narad międzynarodowych. To coś jak projekt rozbrojeniowy. Nikt nie chce zacząć, oglądając się na sąsiada. A radjo — to przecież wielka broń propagandowa.

Rozwiązanie zagadnienia inwazji radja w życie ludzkie może być podjęte nie inaczej jak na tle głębokiego międzynarodowego ruchu kulturalnego, który zwróci swe ostrze przeciw ilościowej polityce „masówek oświatowych", który podejmie walkę o wyzwolenie indywidualności. — Dalekie perspektywy? — Kto wie, czy bardzo dalekie? Mam wrażenie, że nawet dziś wśród naszych tuzów mikrofonu znalazłbym sprzymierzeńców — ot choćby prof. Rutkowskiego, którego znakomitych „rozmów muzyka ze słuchaczem radjowym" słucham z zapartym oddechem co środa. Kto tak mądrze i głęboko rozumie muzykę, ten napewno pojmie doniosłość i wagę zagadnienia „kagańca radjowego".

J. E. SKIWSKI

KILKA UWAG O POSTACI I O DIALOGU DRAMATU RADJOWEGO

Przy pierwszych już próbach ujęcia dramatycznego przebiegu w same tylko dźwięki dostrzeżono zasadniczą odmienność praw, kształtujących byt postaci dramatu na scenie i przed mikrofonem. Niejednokrotnie dano nawet wyraz mniemaniu, iż nietylko o odmienności, ale wprost o przeciwieństwie mówićby tu należało; stosowane bowiem w kompozycji i w reżyserji scenicznej sposoby przedstawienia i usilnienia tragizmu wywierają często na postać dramatu radjowego wpływ wręcz osłabiający, technika dramatycznych słuchowisk żąda natomiast wielu takich ujęć i środków, które nie do pomyślenia byłyby na scenie. Odbijający się od kulis teatru krzyk i jęk rozpaczy wpłynie między kotary radjowego studja jako ledwie słyszalny i cichnący szept; międzysłowna chwila ciszy, nabrzmiała tragizmem tam, gdzie widz postać sceniczną widzi, może stać się atomem pustki i osłabić, jeśli nie zniweczyć napięcie przebiegu przy percepcji jedynie fonicznej. Jakkolwiek dramat radjowy rodzi się dopiero i estetyczne jego kanony wyłaniają się dopiero z bezkształtu, nie od rzeczy będzie ustalić kilka spostrzeżeń na temat postaci dramatu radjowego, wysnuć parę wniosków ze wstępnych dotychczasowych doświadczeń.

Poświęćmy chwilę uwagi zagadnieniu napozór najprostszemu, niemniej zawierającemu jądro różności teatru i radja: zagadnieniu ciągłości, czyli identyczności w czasie, postaci dramatu. Teatralny widz, śledzący rozmowę kilku postaci, wie dobrze, że każda z nich zmienia się ciągle, przerzuca swą myśl z tematu na temat, przebarwia swoje uczucia, przegina wolę. Teatralny widz nie wątpi jednak ani na chwilę, że są to tylko zmiany przejawów jaźni niezmiennej, że aktor, przebiegający w paru sekundach z rozpaczy w śmiech, z pustoty w powagę, z szczerości w kłamstwo, pozostaje przecież tym samym człowiekiem. Ciągłość postaci dramatu na scenie jest dana i upewniona ciągłością pewnych, związanych z postacią, elementów wizualnych, jak wygląd aktora, jego mimika, strój, gest. Zupełnie inaczej jest przed mikrofonem. Postać słuchowiska co chwilę jawi się fonicznie — i niknie; odzywa się — i milknie; ożywa — i umiera. Postać dramatu radjowego istnieje w sposób przerywany. Przy każdem swem odezwaniu się żąda od słuchacza aktu pewnej rekognicji: „a, to ten sam człowiek, który mówił przed dwiema minutami? Czy tylko napewno ten sam? Tak jest, ten sam. Słuchajmy, co dalej powie". Słuchacz dramatu radjowego musi nieustannie, świadomie lub bezwiednie, spełniać pewien wysiłek orjentacyjny, musi poświęcać cząstkę swej energji psychicznej na upewnianie się, że zna już mówiącą postać słuchowiska, i że w owej postaci nie zaszły zasadnicze zmiany myślowe, uczuciowe i woluntarne wtedy, kiedy milczała, kiedy nie była wrażeniowo obecna. Subtelnostka, niewarta uwagi, powie czytelnik. Otóż nie. Rekognicja postaci dramatu radjowego zużywa w sposób estetycznie nietwórczy niezmiernie wiele energji duchowej słuchacza, tej przecennej energji, którą możnaby przecież lepiej wyzyskać, wydatniej przemienić na przeżycie piękna. Technika dialogu radjowego winna być taka, aby słuchacza jaknajbezpośredniej upewnić o ciągłości postaci, aby ta postać nie przestawała istnieć z chwilą, gdy milknie. Jak przekonamy się za chwilę, zadanie to spełni nie technika jaskrawych przejawów, jakby to przy pierwszym rzucie oka zdawać się mogło — lecz wprost przeciwnie: technika dyskrecji.

Druga różność, dzieląca scenę od radja, to wyrażalność reakcyj psychicznych na mówione słowo przy pomocy elementów niedźwiękowych (wizualnych) na scenie, skupienie natomiast całej reakcji w dźwięku, w słowie, tam, gdzie jedynie słuch o dokonywającym się dramacie uwiadomić może. Jakże wymownem bywa w teatrze milczenie aktora, jakże jaskrawo uwyraźnia się „milcząca burza wewnętrzna" przy pomocy drgnień ust, zalśnień i zamgleń oczu, gestu rąk! Aktor radjowy nie rozporządza temi środkami. Musi chwilę czekać, aby mu wolno było tonem głosu, rytmem oddechu, napięciem mówienia wyrazić to wszystko, co w nim słowa, przed chwilą przez kogoś rzeczone, wzbudziły. Aktor radjowy musi nieustannie walczyć z niebezpieczeństwem intonacji przesadnej. Dialog dramatycznego słuchowiska winien ułatwić tę walkę. Winien zawierać pewne czynniki, rzeczywiste dla słuchacza, mimo iż nie zostały powiedziane głośno.

Technika dialogu, polegająca na tworzeniu przy pomocy słów — treści uboższej od sumy znaczeń wszystkich słów, treści zatem niklejszej od związanego z nią wyrazu, — to technika wypowiedzi jaskrawej, marnującej energję psychiczną słuchacza i aktora.

Technika przewagi treści nad wypowiedzią słowną, treści, która przerasta sumę znaczeń wszystkich słów, treści bogatszej od wyrazu, — to technika dyskrecji, tworząca p o d s ł o w a m i ciągłość istnienia postaci, zapewniająca reakcjom psychicznym nieprzerwany przepływ.

Co można wyrazić przy pomocy słów tak, iżby treść wyrzeczonych słów przerosło?

Wszelkiego rodzaju przeciwieństwa życiowe: statyczne różności cech ludzkich, kinetyczne przeciwieństwa, czy raczej rozbieżności ludzkich dążeń.

Nietylko o p i s y w a ć dziejącą się w życiu walkę winien dramat radjowy. Niezbędna przewaga treści nad wyrazem zniekształciłaby się w pusty patos, w szkodliwą krzykliwość z chwilą zesztywnienia treści w obrębie niezmiennego konturu. Dramat radjowy winien s ą d z i ć walkę życiową. Idąc trop w trop za jej nieustannym przebiegiem, winien rozprężać swą treść od sztywniejących doświadczeń — ku wierze. Winien łączyć odtworzenie życia z osądem życia, i sięgnąć powszechnej, trwałej ważności swych orzeczeń, jako s ł o w o w i a r y.

W przeciwieństwie do niektórych dążeń teatru, forma dramatu radjowego jest służebnicą treści; nie wolno elementom formalnym przebiegu dążyć do samoważności. Dźwięk dla dźwięku", a zatem przesadny akompanjament dźwiękowy, jaskrawa ilustracja foniczna — to są grzechy dramatu radjowego. Efektowne *charivari* dźwiękowe cechowałoby utwór, zasadniczo różny, przeciwny — mianowicie bierną dźwiękową notatkę odtwórczą — reportaż.

ANDRZEJ RYBICKI

O „ROCZNIKU LITERACKIM"

NA MARGINESIE TRZECIEGO TOMU *ROCZNIKA LITERACKIEGO.*

Znana jest ta tradycyjna niechęć, jaką pisarze czuć zwykli do historyków literatury, malarze do historyków sztuki i podobnie wszyscy inni artyści do naukowych badaczy tej sztuki, w której sami wypowiadają się twórczo. Wyobrażam sobie, jakim płomieniem musiała ta niechęć wybuchnąć u niektórych naszych pisarzy, którzy się dostali na warsztat *Rocznika Literackiego.* Nie mówię zupełnie o tych zganionych, ani o tych „niedocenionych", którzy chcieliby więcej kadzideł, ale o tym przeciętnie życzliwie potraktowanym autorze, którego zła pasja porywa na widok, jak to stał się „objektem". Bo jakże to? każdy artysta, z chwilą kiedy wogóle tworzy, to w mniej lub więcej ostrem poczuciu, że jest czemś jedynem, absolutnem, niepowtarzalnem, i takim właśnie, wyjętym z pod wszelkich wspólnych mian i określeń, chce on stanąć wobec świata przez dzieło; każdy ma w temperamencie coś ze Stirnera, uważając siebie za *der Einzige*, a za swą własność — *sein Eigentum* — wszystkie dusze wszystkich swych bliźnich, którzy jeśli jego magji się opierają, to popełniają grzech przeciw Duchowi. A tu sobie przychodzi taki jegomość — katalogujący, etykietujący, rubrykujący — i Jego Jedyność zestawia, przyrównywuje, przymierza, pakuje do swoich przegródek, umieszcza w tym albo owym kącie jakiegoś zbiorowego obrazu, włącza — szelma! — jako ogniwo w jakieś tam szeregi ewolucyjne... To jest więcej niż nieprzyjemność, to jest pół śmierci. Otóż niech mi teraz kto powie: gdzie uśmiercający ten proces może się dać bardziej we znaki niż właśnie w takim doskonałym, sumiennym, uczonym, skrupulatnym, uczciwym i skądinąd Bogu ducha winnym *Roczniku?* Do porządnej historji literatury nie tak łatwo się dostać za życia, a gdy się już tam jest, miły zaszczyt równoważy potrosze przykrą sensację. Być zarubrykowanym w recenzji czy w artykule krytycznym zawsze jakoś raźniej; jakoś się przecie jest jeszcze traktowanym jako o s o b a. *Rocznik Literacki* jest gorszy: on za życia już nie przepuści nikomu, i jak w każdej osobowości dojrzy przejaw zjawiska ogólniejszego, tak każde dzieło automatycznie przerobi na „pozycję" pośród pozycyj. Sto czterdzieści takich „pozycyj" w dziale powieści! osiemdziesiąt kilka w liryce! Osiemdziesiąt kilka więc jaźni, osiemdziesiąt kilka bogów na słońcach, osiemdziesiąt kilka dusz świata przekatrupił zuch Zawodziński na klocki dla systematyzujących, porządkujących, konstruktywnych intelektów swoich współczesnych. I nic to, że się wziął do rzeczy ze znawstwem, i że czasem aż zbyt czule pogłaskał a to Iksa a to Igreka. W tej czy innej formie mord się dokonał pocichu i w dobrym stylu rozegrał się raz jeszcze okrutny dramat włączania w rzeczywistość bezosobową, powtarzalną, dającą się krajać, tego co się przewala i kipi *extra muros* wszelkiej miary i ładu. Ciężkie sprawy pod niewinnym pozorem „sprawozdania z rocznej produkcji"!

Ale czas już zacząć mówić poważnie.

Nie żeby to był tylko żart, to com powiedział. Żart o tyle, żem się kpinami wykręcił od określeń ściślejszych, którychbym tak od ręki dać nie mógł. Ale sam zamiar był serjo. Przerabianie aktów twórczych i ich wykwitów na materjał świadomości zbiorowej, w której się syntetyzuje obraz kultury, jest rzeczywiście procesem głęboko na swój sposób tragicznym, tak od strony subjektywnej dla twórców jak od zewnątrz, choćby dla Boga, patrzącego na to wszystko z Syrjusza i z pewnością bolejącego, że tu tyle lawy jednak — zastyga.

Nie była to, tem samem, również satyra na megalomanję pisarzy. Choć się trochę i pośmiałem z „dusz świata", wierzę, że każdy artysta — wybitny lub mniej wybitny, ale człowiek o psychicznym t y p i e artysty — musi zawsze gdzieś w najskrytszej skrytości zgłaszać takie „absolutne" roszczenia i że stirnerowskie pazury, jeśli się i wydają przycięte, to są niemi albo pozornie albo wtórnie, w wyniku doświadczeń; dla t y c h bowiem ludzi doświadczenie zawsze jest klęską.

A więc był to może przecież rodzaj krytyki — bardzo delikatnej krytyki — intelektualnego stylu *Rocznika?* I to jeszcze byłoby niedokładne. Przedewszystkiem, wielu współpracowników ma pełne i godne uznania zrozumienie dla indywidualności autorskich. A jeżeli z tem się łączą tamte zabiegi „syntetyzujące", „porządkujące", to, biorąc rzecz na rozsądek, nie można za ich wykonanie mieć do kogokolwiek pretensji. Ów proces porządkowania, włączania i całkowania dokonany przecież być musi, i byłby chyba rodem z księżyca, ktoby jego niezbędności nie uznał. A tu jest on dokonany wzorowo. *Rocznik* jest nietylko — jak głosi prospekt — „niezbędnym przewodnikiem dla wszystkich, którzy pragną zorjentować się w wartości wychodzących książek"; orjentuje on także w kierunkach, nasileniach, aktualnych tematach, i jest pierwszorzędnym warsztatem, w którym się przygotowują przyszłe syntezy. Mamy tu ujętą w kształt dotykalny pewną ważną fazę pośrednią między płynną, bieżącą krytyką dnia i miesiąca a budującą gmach trwały historją literatury. Artykuły przeważnie są tęgie; wstęp ogólny — pióra tym razem prof. Łempickiego — jest w swej próbie charakterystyki z lotu ptaka przejrzysty i pouczający; cała strona zewnętrzna jest bez zarzutu. To wszystko — i potrzebę tego wszystkiego — z całego serca uznaję, i nazwisko p. Zofji Szmydtowej, redaktorki tomu tegorocznego, która cały ten materjał swą pracą zorganizowała i zespoliła, wymieniam tu z rzetelnym szacunkiem.

Jeśli jednak i krytyki być nie miało, to jak wkońcu określić, o co mi chodzi? Może było to poprostu westchnienie, bezinteresowne ubolewanie, że tak oto, jak powiedziałem, musi być zawsze? Nie; aż tak lirycznie rzeczy nie brałem. Są przecież w owym musie jakieś szczeliny; co żywsi z współpracowników *Rocznika* skwapliwie z nich korzystali gdzie mogli; wskazać je i zastanowić się, jak je rozszerzyć, to byłoby może najprostsze określenie mego zamiaru. Określenie jednak zbyt jeszcze mocne. Bo faktycznie wysunę nie postulaty, nawet nie wyraźne życzenia (za małoby one były realne), ale raczej pewne irracjonalne, nieodpowiedzialne rojenia, poczęte gdzieś bardzo daleko od siedziby krytycznego rozsądku, indywidualne nawskroś i dlatego też w treści ciężko uchwytne a w formie — odpowiednio nieśmiałe.

Chciałbym więc, by współpracownicy *Rocznika* nabrali trochę wyczucia tej sytuacji, którą tu próbowałem opisać. Tej groźnej bądź co bądź chemji, która z rzeczy bardziej żywych — aktów twórczości — składa rzecz mniej żywą: objekt humanistycznego poznania. Nie żeby się z twórcami ciackać w ocenach. Możnaby ich potraktować — przeciętnie — surowiej niż to uczyniono w *Roczniku*, i nicby się strasznego nie stało. Ale wartoby załagodzić, jakoś odsztywnić to, co dla osobowości jest przykre w samem tem chwytaniu jej przez mechanizm. I tuby mi się zjawiał dezyderat zupełnie bodaj sprzeczny z tem co naogół wysunięto jako ideał, gdy dwa lata temu *Rocznik* zaczął wychodzić. Odezwały się wtedy głosy: „więcej czystej sprawozdawczości!" — „Wypowiedzieć się personalnie — mówiono — może każdy współpracownik gdzieindziej; tu niech będzie bezosobisty". Jabym to wywrócił właśnie naopak; chciałbym właśnie więcej personalizmu. W ostatecznym zamiarze chodzi mi o to, byśmy się jaknajbardziej wczuwali i w samą osobowość autorów i zwłaszcza w ową irracjonalną, nawet w najbardziej rzeczowych i ziemsko-pozytywnych epokach przecież na swój sposób mistyczną, tajemną ich aspirację do odbudowania świata, w żywiole słowa, według pionu tej osobowości. By każdy z nas w stosunku do twórcy był jaknajmniej tym nieszczęsnym, stawiającym w szereg kapralem, a w stopniu możliwie najwyższym towarzyszem, współwędrowcem, współryzykantem. I jeżeli już mamy ustawiać, i włączać, i szeregować, to żeby się w to nie wkradło nic z owego, dla humanisty śmiertelnego, poczucia wyższości poznawcy dla materji poznania, nic coby trąciło owem okropnem samouwielbieniem maszyny siekącej na kawałki istotę żywą i o tyle wobec życia „nadrzędnej". Przeciwnie: powinna być pewna pokora w sprawowaniu tej funkcji trochę katowskiej. I tu jest mój paradoks: afiszowanie ponadosobowości badacza, to jest właśnie pycha, antyhumanizm; zachowanie się personalne jest dowodem właśnie pokory. Niewątpliwie: objektywność, więc jednak w pewnym sensie bezosobowość, jest tym celem, który obowiązuje. Ale co innego jest do niej dążyć, co innego ją zwycięsko podkreślać. Przedewszystkiem rzadko czem jest się puszyć, bo nigdy jej nie osiągamy w całości. Ale choćbyśmy osiągnęli, nie trzeba dawać odczuć, że o tem wiemy. Dalecy od „markowania" objektywizmu tam, gdzieśmy do niego się nie przebili, winniśmy nawet na jego szczytach swą bezosobowość raczej ukrywać, unikać pozorów wszelkiej pretensji do automatycznej nieomylności, w żaden sposób nie sugestjonować nikogo, że oto przez nas przemawia coś bardziej autorytatywnego, niż my sami. Właśnie przez podkreślenie tego wszystkiego, co i w nas zostało z subjektywności, zbliżyć się do twórcy w braterstwie wspólnego ludzkiego ograniczenia; nie wstydzić się okazać wahania, ale z drugiej strony i stronniczości, krewkiej pasji za albo przeciw, i nie z buńczuczności, z pewności siebie, ale właśnie przez skromność: być osobistym. Wiele grzechów zdarzy się nam przy tem popełnić, ale unikniemy jednego: wyprzemy się solidarności z tem co w dokonywanej przez nas robocie jest — poprzez mechanizację — destrukcją. Pewnie, że to wszystko wymaga, w wykonaniu, niesłychanej giętkości i poprostu — dużo artyzmu; i dlatego — między innemi — trudno z czegoś podobnego robić postulat. I pewnie, że to wszystko staje się trudnem, gdy się ma do czynienia z setkami lub choćby tuzinami dzieł pisarzy, i gdy wielu z nich jest nieciekawych: cóż za sens, powie ktoś, takie psychiczne i literackie łamańce wyprawiać dla grafomańskiego tomu wierszyków, dla bomby teatralnej niższego rzędu, albo głupowatej powieści? To też nie miałbym nic przeciw temu, gdyby na terenie *Rocznika* chciano stąd wyciągnąć konsekwencję w tej formie, by jeszcze dalej posunąć zlekka już rozpoczętą redukcję ilościową dzieł omawianych. W bibljografji trzeba może dać komplet; ale z bibljografji do tekstu niech się książka dostaje przez sito. Wracając zaś do krytycznej strony tych uwag: jeśliby mię ktoś chciał przekonywać, że dotyczą one bardzo słabo *Rocznika*, i że, uczepiwszy się go nie wiedzieć czemu, zawisam z niemi wkońcu w powietrzu, to dałbym mu odpowiedź dwojaką. *Rocznika*, przyznałbym szczerze, dotyczą one słabo, to prawda; ale w gruncie rzeczy *Rocznik* był tu pretekstem. Czy zaś, przy skonfrontowaniu tych myśli z materjałem nieco obfitszym, wypadnie im zawisnąć w powietrzu, to jest sprawa dużo mniej pewna. Mnie się zdaje, że gdybym w tym duchu chciał się dobrać do całości literatury poświęconej literaturze, znalazłbym w niej dość punktów czułych, w któreby moje ostrza weszły głęboko.

HENRYK ELZENBERG

*

ROCZNIK LITERACKI 1934 *

Rocznik Literacki należy do tych nielicznych wydawnictw, które są więcej niż pożyteczne, bo niezbędne, i więcej niż cenne, bo niezastąpione. Mamy w nim podręcznego informatora, w postaci systematycznego wykazu całorocznej produkcji literackiej, i zarazem kompetentnego doradcę, przewodnika po tym oszałamiającym lesie nazwisk i tytułów. A przy tem wszystkiem jest to bardzo zajmująca książka do czytania, coś w rodzaju skomplikowanego pryzmatu czy grupy pryzmatów rozmaitego kształtu i koloru, w których odbija się wielobarwnie i wielopostaciowo falujące życie literackie naszych czasów.

Tom trzeci *Rocznika* nie różni się w ogólnym charakterze i układzie od tomów poprzednich. Ta sama w nim staranność i dbałość o formę zewnętrzną, tak charakterystyczna dla wydawnictw Instytutu Literackiego. Tem bardziej rażą na tem tle niektóre braki, niezbyt trudne do uniknięcia. Razi więc i szpeci książkę fatalna korekta, szczególnie niedbała w wykazach bibljograficznych, które przecież stanowią podstawową część tego wydawnictwa informacyjnego. Razi nieuzasadniony brak takiego wykazu przed rozdziałem, poświęconym książkom dla dzieci i młodzieży, razi pominięcie, tak w bibljografji jak i w treści właściwej, książki tej miary co *Szczenięce lata* Wańkowicza; pominięcie tem dziwniejsze, że znalazła tu uwzględnienie i omówienie *Opierzona rewolucja* tegoż autora. Niebrak też drobnych lecz przykrych pomyłek rzeczowych (tak np. wbrew twierdzeniu *Rocznika* jedna z książek E. Bove'a została spolszczona; tytuł popularnej broszurki Chrzanowskiego nie brzmi *Za co mamy kochać „Pana Tadeusza");* niebrak również usterek językowych i stylowych. Czemu przypisać wszystkie te niedociągnięcia? Pośpiechowi, zapewne; nie jest to przecież wyjaśnienie ani usprawiedliwienie dostateczne.

Zasadniczo *Rocznik* obejmuje w swych dwudziestu sześciu rozdziałach to co nazywa się „literaturą piękną", a więc poezje, dramaty i powieści, oryginalne i tłumaczone. Naturalnem uzupełnieniem tego są ustępy poświęcone refleksji nad literaturą (historja, teorja, krytyka literacka), książkom dla młodzieży, czasopiśmiennictwu i t. p. Dwa natomiast rozdziały, o książkach podróżniczych i o pamiętnikach, wykraczają już poza krąg literatury pięknej. Fakt ten jest znamienny. Literatura piękna rozszerza się na swoich nowych czy tylko nowo rozrosłych gałęziach (essay, reportaż, feljeton w swej bezpostaciowej wielopostaciowości), wypuszcza świeże pędy. Szkoda, że ten dział literatury pięknej nie został wyodrębniony w *Roczniku* jako osobna, nowa jej gałąź, szkoda też, iż referenci literatury podróżniczej i pamiętnikarskiej potraktowali swój przedmiot raczej z naukowego, geograficznego lub historycznego, punktu widzenia, nie poruszając nasuwających się niezmiernie ciekawych zagadnień estetycznych, związanych z kształtowaniem się nowych form literackiego wyrazu.

Jeszcze bardziej rozszerzyli zakres *Rocznika* dwaj jego współpracownicy. Referent przekładów z angielskiego wciągnął do swych rozważań *Historję świata* Wellsa i *Poglądy i widoki nauki współczesnej* Russella; referent działu czasopism zajął się szeroko kwartalnikiem *Kultura i Wychowanie*, choć pismo to niczem nie wiąże się z literaturą piękną. Byłoby może dobrze, gdyby te, samozwańcze zapewne, zapędy w stronę zagadnień ogólno-humanistycznych, ulegalizować i rozszerzyć, w postaci np. osobnego rozdziału, poświęconego „zagadnieniom poglądu na świat".

Rozszerzając swój zakres w niektórych kierunkach, w innych *Rocznik* zwęża go. Czytamy w posłowiu redakcyjnem: „*Rocznik* dąży do stworzenia obrazu rocznej produkcji literackiej w Polsce przez wyróżnienie zjawisk szczególnie charakterystycznych i publikacyj czołowych. Dlatego świadomie rezygnuje z omówienia wszystkich pozycyj wydawniczych". Bardzo niebezpieczne założenie! Niewątpliwie, publikacje czołowe winny być wysunięte na czoło, ale i rzeczy słabe i mierne należy chyba wymienić dla pełności informacji, właśnie jako słabe i mierne. Większość współpracowników *Rocznika* trzymała się też, na szczęście, tej zasady; odbiegł od niej referent literatury angielskiej, p. Chwalewik, i nie wyszło mu to na dobre. Rzecz zabawna, że jako pozycję zbyt mało czołową lub niedość charakterystyczną, najdokładniej przemilczano w dziale „badań literackich" studja... Stefana Kołaczkowskiego (!).

Trzeci tom *Rocznika* otwiera piękna introdukcja, poświęcona Józefowi Piłsudskiemu i tajemniczym a głębokim związkom Jego ze słowem. Po niej idą ogólne uwagi Zygmunta Łempickiego „Życie literackie a chwila obecna", do których jeszcze powrócimy. Za niemi następują fundamentalne rozprawy: o liryce (w opracowaniu Zawodzińskiego), dramacie (Irzykowski) i powieści (Piwiński). W dalszym ciągu omówione są: wznowienia literackie, przekłady, książki dla dzieci i młodzieży, pamiętniki, podróże i t. d. Większość referatów utrzymana jest w formie kronikarskich sprawozdań, rozpatrujących kolejno poszczególne pozycje w porządku, który wynika niejako z samej struktury przedmiotu (układ chronologiczny w dziale wznowień, porządek, wedle części świata w dziale książek podróżniczych i t. p.). Poziom tych sprawozdań jest dość nierówny. Za najlepsze z nich uznać trzeba studjum L. Piwińskiego o literaturze narracyjnej; zachwyca w niem głównie niezwykła umiejętność charakteryzowania „indywidualności" dzieł literackich zapomocą celnej i subtelnej formuły, a także niezawodna prawie trafność w ocenie. Referat Irzykowskiego o literaturze dramatycznej dostarcza wiele materjału porównawczego w postaci zebranych głosów krytycznych o wystawionych sztukach; tylko bystry i uważny czytelnik dostrzeże dyskretnie ukryty wśród tych głosów indywidualny „sprawdzian wartości" referenta. Z dalszych rozdziałów zasługują na wyróżnienie praca Wyki o literaturze podróżniczej, inteligentna i zajmująca jak wszystko co wychodzi z pod pióra tego autora, oraz artykuł Borudzkiej o książkach dla dzieci i młodzieży, który drażni wprawdzie trochę swym manierycznym i pretensjonalnym stylem, ale zato zaleca się niejedną myślą głębszą.

Do słabszych rozdziałów należy m. in. ustęp o literaturze angielskiej, opracowany przez W. J. Chwalewika. Stoi on jednak o całe niebo wyżej od artykułu, poświęconego czasopismom literackim (pióra W. Kubackiego). Artykuł ten roi się poprostu od nieznośnych truizmów, do których zdaje się mieć p. Kubacki specjalną predylekcję. Należą tu uwagi o merkantylnej ruchliwości *Wiad. Lit.*, o szkodliwych dla literatury koterjach, o tem, że „życie czasopism płynie jak wszelkie życie", wszelki zaś objektywizm jest utopją, „albowiem już sam wybór materjału bywa narzucaniem pewnych poglądów". Jako próbkę zdolności analitycznych autora przytaczamy główną część charakterystyki *Pionu*. „Na numer składały się z zasady: kawał prozy, wiersze od awangardy do najmłodszych (?), nowe wydawnictwa, recenzje z poezji, „dyskusje", kronika życia kulturalnego i przeglądy". Bardzo podobnie możnaby scharakteryzować numer *Kameny, Żagarów, Dźwigarów, Lewego toru, Prosto z mostu* i wielu innych czasopism.

Dosyć osobliwe są opinje i gusty p. Kubackiego. Dowiadujemy się od niego, że *Pamiętnik Literacki* „odrodził się pod nową redakcją", że *Dźwigary* to „ogromna ewolucja polskiej myśli proletarjackiej", że wreszcie niemasz rozkoszniejszej lektury nad lekturę... *Szpargałów.* Nieszczęsny, kto w to uwierzy i zaprenumeruje trzy wyżej wymienione czasopisma! — Trafny był pomysł omówienia w osobnym rozdziałku „literatury w czasopismach"; zamiar ten jednak nie powiódł się autorowi, który, jak się okazało, dość słabo orjentuje się w literaturze współczesnej (por. zwłaszcza rozbrajająco naiwne wynurzenia na temat poezji awangardowej).

Zajęliśmy się nieco obszerniej pracą p. Kubackiego, ponieważ stanowi ona w *Rocz-*

* *Rocznik Literacki* za rok 1934. Pod redakcją Zofji Szmydtowej. Instytut Literacki, Warszawa, 1935. Str. 330 + 6nl.

niku pozycję odrębną. Obecnie przechodzimy do tych nielicznych referatów, które miały ambicję dawać nietylko kronikę ale i ujęcie ogólnej sytuacji literackiej w ich zakresie. Wśród nich wysuwa się na czoło znakomite studjum Zawodzińskiego o liryce; do tego jeszcze powrócimy. Referat Pigonia o wznowieniach rzuca światło na dzisiejsze gusty literackie; czyżby jednak naprawdę zwrot do Prusa tłumaczył się odwrotem od dzisiejszych „małych ale czupurnych i zaradnych talentów"? Dobrzeby może było porzucić ten nazbyt znany ton. Z referatów o przekładach wyróżniają się ogólnem ujęciem zagadnienia prace pp. Tyszkowej i Blütha. Referentka literatury francuskiej słusznie zwraca uwagę na błędy naszej polityki przekładowej, wytyka luki, stawia postulaty; mniej udają się jej charakterystyki pisarzy i dzieł, które mimo włożonego wysiłku wypadły nader blado. P. Blüth wypowiedział niejedną ciekawą i zastanawiającą uwagę na temat „destrukcyjnego wpływu zamówienia" na literaturę sowiecką, nie zawsze jednak zachował bezstronność. Bo przecież tendencja, nawet narzucona, choć często krępuje, czasem właśnie — uskrzydla. Prawdziwą i sensacyjną niespodziankę zrobił p. Skiwski; miał pisać o laureatach nagród, a pisał o samych nagrodach, bardzo krytycznie i bezwzględnie. Jego argumenty i projekty reformatorskie nie powinny utonąć w milczeniu i zapomnieniu.

Próbą ujęcia dzisiejszej sytuacji literackiej jest wstępny artykuł prof. Zygmunta Łempickiego. Pierwsze jego zdanie brzmi: „Twórczość literacka nie jest zazwyczaj monologiem samotnika, ale jednym z elementów pewnego procesu, który nazywamy życiem literackiem". Pozorny ten truizm w istocie jest prawdziwą rewelacją jako nowa postawa metodyczna względem zjawisk literackich. W przygodnym szkicu nie było, oczywiście, miejsca na pełne rozwinięcie tematu. Niejedno możnaby wytknąć temu szkicowi, a więc pomieszanie kwestyj większej i mniejszej wagi, niedość dogłębne „świdrowanie" niektórych zagadnień (np. wpływu wojny na literaturę lub przyczyn niepoczytności autorów współczesnych). Oto jedno z nich, może najgłębsze: „Krytyce polskiej nie brak jest umysłów bardzo subtelnych, ale brak jest stanowisk zdecydowanych i osobowości silnie zarysowanych".

Niewielu tylko z pośród współpracowników trzeciego tomu *Rocznika* może pochwalić się zdecydowanem własnem stanowiskiem. Wyróżnia ono przedewszystkiem Zawodzińskiego. Stosuje on w analizie metodę formalną, wyznając przytem ideał autentyzmu poetyckiego, liryki „bezpośredniej" (cudzysłów autora!). Szanując pogląd i metodę, poparte konsekwentnem stosowaniem i wielkim talentem krytycznym, nie możemy w żaden sposób przystać ani na „autentyzm" ani tem bardziej na wnioski, godzące w nową lirykę. Z czasopism, które drukowały w r. 1934 poezje, wymienia Zawodziński *Wiad. Lit.*, *Tyg. Illustr.*, *Pion;* ale przemilcza *Drogę*, w której ukazały się w r. ub. takie wiersze jak *Z Tatr* Przybosia, *Księżyc nad Olchową* Brzękowskiego, *Kołysanka bokserska* Flukowskiego i *Kołysanka* Miłosza — same jedne zdolne uratować honor nowej liryki. O *Brzemieniu niebieskiem* W. Bąka pisze Zawodziński, że jest to mimo wielu wad debiut wybitny; o debiucie J. Putramenta *(Wczoraj powrót)* czytamy, że „rzadko można spotkać książkę nudniejszą". Śmiemy jednak twierdzić, że zaszło tu gruntowne nieporozumienie, opinja pierwsza bowiem całkowicie przynależy drugiej książce, i naodwrót.

Konsekwentny formalizm, bez „autentyzmu", cechuje postawę krytyczną L. Piwińskiego i prof. M. Kridla; wynikiem tej postawy jest pewna jednostronność. Piwiński ma wyraźną predylekcję do eksperymentów kompozycyjnych i technicznych i, jak się zdaje, dlatego przecenia nieco *Całe życie Sabiny* Boguszewskiej, podobnie jak w poprzednim tomie *Rocznika* przecenił *Przygodę w nieznanym kraju* Gruszeckiej. Z drugiej strony krytyk ten może nie docenia wartości eksperymentów reportażowych, które mimo swych niedociągnięć formalnych wzbogacają literaturę nowym materjałem i nowemi możliwościami. Prof. Kridl omawiając wydawnictwa z zakresu krytyki literackiej, stwierdza z żalem, iż „punkt widzenia ściśle literacki rzadko kiedy jest w nich utrzymany". Zachodzi tu nieporozumienie słowne; wiele jest punktów widzenia ściśle literackich, gdyż literaturę można określać rozmaicie, rozumienie prof. Kridla nie jest jedynem ale jednem z wielu, różnem np. nieco od rozumienia Zawodzińskiego.

Ogólny pogląd na literaturę bieżącą jaki wynosimy z lektury *Rocznika*, jest raczej pesymistyczny. Zawodziński stwierdza upadek poezji, Piwiński wskazuje na raptowny spadek produkcji, tak samo Pigoń. Niemal wszyscy referenci przekładów zwracają uwagę na niewiarogodnie niski poziom tłumaczeń. Żałośnie wypada bilans w dziale prof. Kridla, Skiwski zaś wywodzi, że należy znieść nagrody literackie, bo niema kogo nagradzać... Ten pogląd ogólny jest sugestywny, ale niezupełnie słuszny. Naprawdę słuszne i trafne są te lapidarne słowa prof. Łempickiego o naszem życiu literackiem: bezład lepszy niż bezwład. Nie może być mowy o kryzysie w momencie, gdy występują na widownię liczne siły młode, gdy powstają nowe ośrodki i skupienia energji. Energja ta w jakiś bolesny sposób rozprasza się i marnuje, to inna sprawa. Żyjemy w mgławicy, ale żeby ją rozjaśnić, trzebaby ją najpierw zauważyć. Trzeba zobaczyć poza tekstem, średniówką, konstrukcją formalną — życie literackie. Wyrażając to w innych słowach: trzeba przezwyciężyć formalizm w krytyce literackiej.

LUDWIK FRYDE

POEZJA

MARJA JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA). *Balet Powojów.* Warszawa 1935. J. Mortkowicz.

Ocena złej poezji nie należy do rzeczy trudnych. Łatwo wytknąć niedostatki formy, nieudolność i błędy językowe, umieścić ją na właściwym szczeblu hierarchji poetyckiej. Dla poezji o znanej marce (znaku ochronnym) i dobrym poziomie znajdą się właściwe miary w tej czy innej konwencji estetycznej, a nawet dla wierszy nowoczesnych, „wybiegających w przyszłość" (ho! ho!) znajdziemy odpowiadające im miarki w kanonach najnowszych tej lub owej doktryny poetyckiej. Prawdziwy kłopot ze sformułowaniem sądu, z uzasadnieniem go, mamy dopiero wtedy, kiedy znajdziemy się pod urokiem prawdziwego piękna, tego, co jest miarą samo dla siebie,

„...co boskie na świecie,
a grosza nie warte..."

To proste, a tak głębokie sformułowanie, zamykające nowy zbiorek poezji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, uprzytamnia nam wszystkie trudności, związane z wartościowaniem tego, co samo staje się miarą, przedmiotem badań i analiz, terenem poszukiwań formuł i kanonów estetycznych. Wartościowanie — to przejście w świat stosunków jakościowych i ilościowych. Ale jakie jakości i ilości przyjąć za miarę tego, co określamy krótko jednem słowem: piękne? To wiecznie aktualne pytanie, dotyczące istoty przeżyć estetycznych, budzi się, ilekroć zetkniemy się ze zjawiskiem, co nietylko jest przedmiotem chłodnych, objektywnych badań, lecz i źródłem żywych, bezpośrednich doznań piękna. Takie pytania osaczają mnie, kiedy stykam się z tajemniczą prawdą, zawartą w skondensowanej twórczości poetyckiej, twórczości istotnej, o najwyższej klasie, jaką jest poezja Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej. Stefan Żeromski w swem przemówieniu „O Potrzebie Akademji Literatury Polskiej" w r. 1924, z okazji wiersza Jasnorzewskiej *Lenartowicz* wołał: „O słowo skrzydlate, piękne i prawdy pełne!" I ten sąd, pełen uczucia, płynący z szczerej miłości piękna może najściślej, w ogólnym sensie, charakteryzuje twórczość poetki. W wierszu tym, jednym z wcześniejszych, prosi Jasnorzewska:

„Złotniczeńku ty na niebie,
Chcę pić życie, nie mam z czego.
Zrób mi kubek proszę Ciebie,
Z szczerozłota gwiaździstego!"

Wezwaniem swem wyczarowała poetka taki własny, szczerozłoty kubek, z którego pijemy teraz wszyscy jej zaprawdę „skrzydlate słowo". Cofnijmy się wstecz, do wcześniejszych utworów poetki i przypomnijmy np. fragmenty z wiersza *Ptaki wiosenne* ze zbiorku *Wachlarz*, w którym

„Ptaszek na sztachecie
sąsiedniego ogrodu
piłuje szklaną piłą
piosenkę żałosną.
Przed chwilą grał na flecie
z melodyjnego lodu,
lecz słońce flet stopiło
i w kroplach rozniosło.
Tam znowu inny, wyżej,
uparcie jak chińczyk
kiwający głową
trzęsie dzwonkiem ze szkła.
...a kos w czarnem gardle
toczy nutę miękką,
zaczerpniętą przed laty
w studni Meluzyny".

Melodja tych słów, aliteracja, te przenośnie „skrzydlate, piękne i prawdy pełne", zrozumiałe i lekkie, o ileż są bardziej prekursorskie, „awangardowe", niż ciężkie, dopiłowywane z mozołem do programu, do doktryny poetyckiej przenośnie wielu naszych domorosłych supremątyków, surrealistów, programowych skojarzeniowców. Można powiedzieć o wierszach Jasnorzewskiej, że to fraszki. „Cacka! Cacka!" Ale to cacka bezcenne, i tak organicznie wyrosłe z ducha twórczości, jak świat natury, świat drobnych istot, kwiatów i t. d., które są tak często motywem twórczości poetki, przedmiotem jej mikroskopowych obserwacyj, ujętych w intuicyjne formuły metafory. A przenośnie i porównania Jasnorzewskiej miewają nieraz tę fantastyczną świeżość dziecięcego spojrzenia, jak np. porównanie z wiersza *Ropucha* (zbiorek *Wachlarz*):

„...siedzi, śni. Nagle skacze wysoko w powietrze
jak wiedźma rozpłaszczona na swojej łopacie".

Tu należy zwrócić uwagę na powtarzanie się pewnych motywów w twórczości poetki. Pewne tematy, dotyczące kwiatów, ptaków, dębu, nietoperza i inne, powracają, ale za każdym razem wypadają inaczej, dają nowy, świeży aspekt poetycki na zjawisko. Naprz.: motyw nietoperza, który w wierszu z 27 roku „cicho trzepie skrzydłem błoniastem i mierzy, mierzy do świtu koła wieczornych tęsknot wiszących nad miastem", powraca w nowym zbiorku w wierszu *Cud nietoperza*, w nowem ujęciu.

Ciężar gatunkowy i wysoka wartość poetycka wierszy Jasnorzewskiej leży jeszcze w fakcie, że podłożem ich powstania nie jest prosty zamiar zdobniczy, werbalny. „Dla miłości, dla tęsknoty uczyń kubek, złotniczeńku!" Poezja jej rodzi się z głębokiego uczucia, z tęsknot, które możnaby nazwać nietyle metafizycznemi, ile metabiologicznemi. W ostatnim zbiorku sprawa tych „uczuć metabiologicznych" występuje szczególnie wyraziście, np. w wierszu *Modlitwy organiczne*, lub w *Cudzie nietoperza*, który „pragnieniem się modli" o skrzydła. Swoista metafizyka woli i pragnienia wyraża się w tych strofach, gdzie autorka podkreśla, że „trzeba *umieć* poprosić — tak, jak róża, czy klon, czy pająk..." W wierszach tych *(Słonecznik, Zawód w miłości, Modlitwy organiczne)* zamiar twórczy znalazł lapidarny i przenikliwy wyraz. Nowy tomik Jasnorzewskiej jest bardziej jednolity od poprzedniego, *Śpiąca załoga*, jest bliższy wcześniejszej fazie twórczości poetki, bo brak w nim owych programowych, tendencyjnych, „eugenicznych", że tak powiem, utworów, których powstanie nie płynęło już z tak czystych intencyj twórczych, z jakich rodzą się te perełki lapidarności, krótkie spięcia obserwacji i intencji artystycznej, drobne wiersze poetki, zamykające w jednej metaforze cały proces doznań i samą istotę zjawiska. Wyrafinowanie, sumą wspomnień w nich zawartych, nie ujmuje przenośniom Jasnorzewskiej nic z przenikliwej jasności i trafności, jak np.: te „powoje, balet z czasów Degasa"..., które „stoją nieruchomo sur les pointes"...

Pobrzmiewają w nowym zbiorku jakieś nowe tony. Wiersze takie, jak *Argument kosmiczny* i *Smutny Ktoś i biedny Nikt*, swym metafizycznym werbalizmem, w którym jest coś z magicznych usiłowań wniknięcia w znaczenie słowa, zbliżają się do twórczości Leśmiana. W *Białym koniu z Rabat, Emirze Rzewuskim* mamy reminiscencje twórczości malarskiej dziada poetki, Juljusza Kossaka.

Jasnorzewska trzyma się ram tradycyjnej wersyfikacji, miarowej i stroficznej. Lecz miarą świeżości i nowości wrażenia, jakie sprawiają jej wiersze, może być fakt, że słyszałem, jak pewien krytyk poetycki, w pośpiechu zapewne, oceniał typową strofkę poetki, czterowierszową, złożoną z trzynastozgłoskowców, rozbitych tylko graficznie na średniówkach, jako wzór nowych form rytmicznych, jako przykład usiłowań, zmierzających do przełamania tradycyjnych miar wiersza. Przyczyną takiego poddania się pozorom graficznym tych wierszy może być tylko ich oryginalność, będąca wyrazem twórczej indywidualności poetki. Bez przesady można powiedzieć, że liryka Jasnorzewskiej ma wiele cech istotnej klasyczności.

WŁ. SEBYŁA

PRZEKŁADY

POWIEŚĆ KOMBINOWANA.

BORIS PILNIAK: *Sobowtóry.* Powieść. Warszawa, 1935. „Rój".

Sława Pilniaka, odkąd zetknąłem się z jego prozą — a to już kawał czasu, czternaście lat temu, bezpośrednio po wojnie — wydawała mi się walnem nieporozumieniem w dziedzinie powieściopisarstwa rosyjskiego, a każde dzieło, które poznawałem, przyczyniało się tylko do wyjaśnienia istoty tego nieporozumienia, a zwłaszcza pozycji tego pisarza w literaturze, do sprecyzowania jego właściwego *genre'u*.

To, co uderzało przy pierwszem zetknięciu z jego książkami, to ich nieczytelność, mętno- i ciężko-pisarstwo, niejako programowość tego, co rosyjscy krytycy nazywają *zatrudnionnaja forma.* Było też to pierwszą przyczyną, dla której, nawet gdy jaką książkę, jak np. *Krasnoje dieriewo* (Mahoń) musiałem uznać za doskonałą w swoim rodzaju, nigdy nie miałem do tego pisarza szczególnego nabożeństwa; jest to tembardziej zrozumiałe, że jako obserwator literatury rosyjskiej, może wskutek wychowania w atmosferze kończącego się symbolizmu i reakcji klasycystycznej, związany osobiście z przedstawicielami „akmeizmu", trzymałem z tymi, kto głosił hasła *clarisme'u*, jasności i rozgraniczenia gatunków literackich. Pilniak wydał mi się odrazu zjawiskiem wstecznem, spadkobiercą prozy artystycznej symbolizmu, tej, która była kultywowana wyłącznie przez poetów. Nie trzeba bowiem zapominać że symbolizm w Rosji był kierunkiem literackim w swojej epoce tryumfującym i charakteryzującym ją, nadającym jej nazwę, nie był zaś nigdy, podobnie jak we Francji, panującym wyłącznie i z odepchnięciem innych kierunków z powierzchni życia literackiego, choćby w tym stopniu co Młoda Polska u nas. Proza artystyczna wiodła żywot niezależny od zwyciężającego w poezji kierunku; równolegle ze szkołą symbolistów rozwijała się twórczość Czechowa i Gorkiego; ten nurt, najbardziej dla rosyjskiej literatury rodzimy i najpopularniejszy w ojczyźnie, dotrwał naszych czasów, nawet częściowo w osobach owoczesnych swych przedstawicieli, że wspomnę np. Bunina. Ale obok tej prozy „realistycznej" (pomijając dla uproszczenia nie mieszczących się w tym schemacie dwóch ważnych pisarzy: Mereżkowskiego i L. Andrejewa), istniały dzieła prozaiczne poetów „z fachu", przenoszących w nie środki ekspresji lirycznej: A. Biełyj może służyć tu za przykład najbardziej charakterystyczny, najgłośniejszy w swym ekstremizmie i najwpływowszy w powojennym rozwoju literatury.

W samej istocie sztuki Pilniaka tkwi to właśnie: przeniesienie chwytów liryki do prozy narracyjnej. Nietyle w samym stylu, w samej szacie słownej, która jest prosta nawet jakby umyślną prostotą, ile w metodach kompozycji. Statyczność tematu, rozwijanego w kolejnych warjantach zabarwionej emocjonalnie w pewien sposób ekspresji; stąd powtarzanie i jakby naciskanie na pewne motywy; w rezultacie eliptyczna wielomówność, skąd fragmentaryzm. Mógł więc Pilniak dać utwory doskonałe, o ile chodziło o zgęszczony „nastrój" liryczny; takim był obraz starej Rosji, umierającej na prowincji *(Krasnoje dieriewo);* ale w większych utworach powieściowych, poddanych przytem narzuconym zgóry wymaganiom dydaktyki i narracyjności, widać szkodliwość tego nastawienia na „artyzm", na sztuczność ekspresji; „utrudniona forma", która może być czasami skutecznym choć ryzykownym środkiem zaciekawienia, trwalszego przykucia czytelnika w poezji, — w powieści skazana jest napewno i zgóry na prędkie więdnięcie, choćby po chwilowem, snobistycznem przeważnie powodzeniu — i niepowrotne starzenie się. Przykładów można wyszukać dosyta i ze wszystkich literatur, nietylko z epoki symbolizmu ale również dawniejszych, romantycznych, a i bardzo świeżych, wczorajszych ledwie, gdyż równocześnie z apogeum sławy Pilniaka i gdzieindziej kwitną podobne tendencje. I u nas znajdzie się taki, bardzo znakomity pisarz, współczesnik Pilniaka i analogiczne zajmujący stanowisko w hierarchji literackiej, choć poza wskazanemi podobieństwami różnią się i w rozumieniu celu swej twórczości i w stylu, w samej oprawie słownej. Trzeba dorzucić, że i sława Pilniaka jest obecnie w jego ojczyźnie mocno rewidowana i stawiana pod znakiem zapytania.

Ale trzeba żyć, więc pisać, licząc się z „obstalunkiem społecznym", bacząc także na *Wink von oben:* zaniedbanie w tym względzie, zwrócenie rozrzewnionego spojrzenia na starą Ruś-świętą „dogniwającą" po kątach, zbyt pamiętną niełaską zemściło się na Pilniaku. Trzeba pisać powieści, związane z „budownictwem" socjalistycznem, a przynajmniej udawać, że się takowe pisze. I w tem wykręcaniu się sianem z obowiązku powieściopisarza, w tem kombinowaniu powieści z materjału pod ręką, Pilniak jest znakomitym majstrem. Widzieliśmy już, jak kawałkami potępionego *Mahoniu* inkrustował lojalną powieść *Wolga wpada do morza Kaspijskiego*, żeby na ich ciemnem tle lepiej wyszły laubzegą wycięte z dość ordynarnej ale jasnej brzeziny sylwetki nowej rzeczywistości sowieckiej; nie pominął też okazji do sprezentowania reportażu z najbardziej wówczas fascynującego odcinka budownictwa — Dnieprostroju. Teraz znów — w *Sobowtórach* — *inyja nużny nam kartiny*, ku czemu innemu skierowano entuzjazm ludności i zaciekawienie zagranicy. Teraz jest moda na eksploatację bogactw Uralu (Magnitorsk) — mamy więc stamtąd obraz przemysłu radowego; na wyprawy arktyczne (pamiętamy, jaka histerja i reklama, budząca podejrzenie, że to wszystko jest tylko trick kinowy, towarzyszyła „czeluskinowcom") — mamy więc obraz wyprawy podbiegunowej; jest moda na

organizowanie nowoczesnych kolonij (por. „Turksib'), mamy zatem istotnie bardzo ciekawe obrazy z najbardziej niedostępnego i najpóźniej wziętego pod pług zakątka tego kolosalnego imperjum kolonjalnego, ze Wschodniej Buchary. Mnie osobiście zainteresowały nietyle „zdobycze rewolucji", ile przeciwnie, zachowana egzotyka tego kraju, zgadzająca się naogół ze wspomnieniami, które wyniosłem z pobytu w dzieciństwie w tamtych mniej więcej stronach. Ale stan tych notatek jest surowy i, z wyjątkiem epizodu arktycznego, ukształtowanie ich nowelistyczne — rudymentarne albo żadne. Włączenie ich w korpus powieści, prawie „szufladkowej", jest nietyle mechaniczne, co uzyskiwane drogą niezbyt zręcznego nakręcania *à propos*, kosztem wikłania i tak już zawikłanej i bzdurnej fabuły samej powieści. Fabuła ta, niby główna, zajmuje szczupłe miejsce wobec wstawek, co czyni ją jeszcze mętniejszą i ciemniejszą. Wydaje się czasem parodją jakiejś srodze romantycznej fantastyki, z sobowtórami-braćmi, sobowtórami-kobietami (z żyjącą dziwnem życiem mumją włącznie), a więc i z motywem metempsychozy i rozdwojenia osobowości. Podejrzenia o intencje parodystyczne zjawiają się również, gdy Pilniak porusza motyw *wrieditielstwa*, zresztą mimochodem, w przeciwstawieniu do *Wołgi*, gdzie sabotaż jest motywem centralnym fabuły; w *Sobowtórach* poza refleksjami nad podświadomem szkodnictwem, jest jeden ustęp ale nieprzepłacony, o dwóch osobnikach w robotniczem ubraniu, którzy tuż obok namiotu robotniczego toczyli rozmowę po francusku, tytułując się ekscelencjami, na temat jutrzejszego wiecu, aby na nim podburzyć robotników.

Pomimo wszystko, książka, choćby jako chaotyczny może, ale obfity materjał do poznania życia Rosji współczesnej, a zwłaszcza jej ekspansji na tereny dotąd kulturalnie, narodowo i przemysłowo nie opanowane — warta jest przeczytania w pięknem tłumaczeniu Wł. Broniewskiego.

INTELIGENT NA ŁONIE SOWIETÓW.

ILJA ERENBURG: *Dzień wtóry*. Powieść. Warszawa 1935. „Rój".

Erenburga nie trzeba przedstawiać jako powieściopisarza. Jego popularność w Polsce, zwłaszcza przed kilku laty, przed dziesięciu, nosiła charakter jakiejś rozpusty umysłowej: Pitigrilli dla inteligencji. Ale ta popularność daje przynajmniej miarę łatwości i podbijającego wdzięku jego narracji i stylu. I określa jego postawę, łatwą do przyjęcia dla przeciętnego Europejczyka. Sceptyczną, drwiącą, humanitarną, w gruncie rzeczy anarchiczną. Postawę liberała, która pozostaje także w jego powieści o „budownictwie socjalistycznem", pomimo wciąż wysuwanej tendencji afirmatywnej, pomimo podkreślania entuzjazmu twórczego w Sowietach, pomimo morału, uwydatnionego zasłużonym *happy-endem* dla lojalnych bohaterów komunizmu, a ukaraniem „wrogów klasowych" w drodze samoskarżenia i samokaźni.

Podkreślenie przeze mnie „łatwości" artyzmu i postawy Erenburga nie ma wcale sensu pejoratywnego czy pogardliwego. Jakkolwiek oczywiste jest pokrewieństwo jego stylu ze stylem dziennikarskim, feljetonowym, niewątpliwie znajdujemy się tu na szczytach tego gatunku literackiego. Żywość, barwność, zwięzłość, umiejętność zastąpienia długich wywodów czy wszechstronnych opisów konkretnym przykładem, jaskrawym kontrastem, błyskiem ironji. Zużytkowanie i odświeżenie potocznych formuł frazeologicznych, sparodjowanie, gdzie trzeba, stylu urzędowego, naukowego, propagandowego czy prowincjonalno-prasowego, rzuca się w oczy od pierwszych stronic. Zwięzłość i nieskrępowanie żadnemi sztywnemi ramami narracji czy metody opisowej pozwala autorowi zużytkować ogrom materjału, zaczerpniętego z obserwacji, niekoniecznie osobistej. Erenburg korzysta z barw zebranych dla wizerunku rzeczywistości rosyjskiej przez cały realizm rosyjski, nietylko najnowszy, który służy dla niezbędnej „nowelizacji", ale i z całego XIX w. Znając i rozumiejąc rzeczywistość rosyjską, wyróżnia w niej rysy niezmienne, które dopełnia tylko aktualnościami. Stąd soczystość i pełnia jego obrazu, choćby stworzony był „na niewidzianego"; żywości jego nie prześcignie najbardziej pracowity reportaż cudzoziemskiego pióra. A mimo to w ustosunkowaniu się Erenburga do tematu jest, jak już mówiliśmy, jakaś postronność, która przypada do gustu czytelnikowi zachodniemu.

Nietylko w malowaniu rzeczywistości, ale i w sztuce pisarskiej ma Erenburg za sobą wielkie drzewo genealogiczne. Nietylko humoreska *Satirikonu*, ale nadewszystko Czechow. A za Czechowem wszyscy jego poprzednicy, aż do Gogola. I umiejętne wyzyskanie chwytów, na Zachodzie podpatrzonych: chociażby *Histoire Contemporaine* France'a. Erenburg jest inteligentem, w najbardziej powszechnem i najjaskrawszem tego słowa znaczeniu. Ten utalentowany, mieszkający na Zachodzie, międzynarodowy żydek jest najtypowszym przedstawicielem inteligencji rosyjskiej; także w swym stosunku do rewolucji bolszewickiej w omawianej książce. I to jest w niej najciekawsze.

Bo i Erenburg przechodził typową ewolucję w stosunku swym do bolszewizmu. Autor rozpaczliwych wierszy *Modlitwy o Rosji*, przeklinających bolszewików i piętnujących pokolenie, które im się poddało, wkrótce zaczął zdawać sobie sprawę z wielkości zamierzeń „oszalałego budowniczego". Z długoletniej pozycji półemigranta, obserwatora „zgniłego Zachodu", przeszedł wreszcie do szeregów pisarzy entuzjazmujących się piatiletką. Entuzjazm, w którego szczerość można bardziej wierzyć u niego, zamieszkałego na Zachodzie i chyba niezależnego materjalnie, poczytnego na rynkach światowych pisarza, niż u kogokolwiek innego. Obfitość rysów satyrycznych w obserwacji też raczej przemawia za szczerością wiary w rzeczy zasadnicze, afirmacji tej rzeczywistości, mimo jej wszawe pozory.

Co go pchnęło z beztroskiego bytowania na Montparnassie w zabłocone ulice powstających ośrodków wielkoprzemysłowej potęgi rosyjskiej? Nieostatnim bodźcem, jak sądzę, jest tu poprostu patrjotyzm rosyjski, tak często niedostrzegany, bo maskujący się szerokim ogólnoludzkim frazesem. Nuty imperjalizmu znajdujemy potężnie brzmiące już w tamtych dawnych jego wierszach; nutki typowej ksenofobji i nacjonalizmu odnajdujemy w ostatniej książce. I chyba te uczucia mogły go pchnąć do aktu kajania się, za taki bowiem należy uznać wprowadzenie do powieści szablonów belletrystyki urzędowej, aż do *wrieditielstwa i* „samooskarżeń". Dosłownej bowiem wiary u niego, tyloletniego sceptyka i Europejczyka, w te przedziwne ułatwienia pracy trybunałom rewolucyjnym nie chce mi się przypuścić. Nawet pod warunkiem zastosowania wątku Smierdiakowa, w polityczno-aktualnej edycji.

I dlatego potraktowanie głównego, w każdym razie, najciekawszego z trzech głównych bohaterów, Wołodi Safonowa należy uważać za rodzaj surowego samoosądu autorskiego.

Pomijamy zakończenie, t. j. przykładne z punktu widzenia sowieckiego, a niezbędne dla morału powieści, ukaranie Safonowa, które wydaje się nam fałszywem i zgóry narzuconem, jakkolwiek autor konstruuje dlań mocne umotywowanie; ale pozatem wizerunek to pełny prawdy i ożywiony żywą krwią i sympatją autora. „Wróg klasowy" czy *izgoj* (książę bez ziemi), „skazany na zagładę", świetna umysłowość, bogata całem dziedzictwem kultury rosyjskiej i europejskiej, w tym wszechstronnym obrazie Rosji jedyna, tłumacząca genezę świetności literackiej i artystycznej ojczyzny, jest naprawdę postacią reprezentacyjną dla licznych tysięcy, jak tego autor nie ukrywa, prawdziwej, „dziedzicznej" inteligencji rosyjskiej. To nie jest „wewnętrzna emigracja": to, że jest odepchnięty od jednego brzegu, że jest obcy i wrogi już światu kapitalizmu zachodniego (czy też może raczej „Europie" jako Rosjanin), podkreślone jest z wielką prawdą; ale nie może przybić do drugiego brzegu — i to jest jego tragedją w przedstawieniu autora. „On nie tłumaczy znudzenia doktora Fausta właściwością epoki pierwotnej akumulacji... On wie, że bez jest starszy od Marksa. On wie, że wiosna była już przed rewolucją. A zatem on nie wie nic" — ironizuje zaraz na wstępie charakterystyki autor i niema, zdawałoby się, wątpliwości, w którą stronę padają strzały tej ironji. I wszystko, co mówi i przeżywa bohater, wszystko, co mówi się przy tej sposobności, jest tak samo pełne nieodpartej i oczywistej prawdy; tak samo i obraz piatiletki, widzianej oczyma Safonowa, a nadewszystko jego wstręt do ciasnego dogmatyzmu fanatycznej wiary, która tę piatiletkę buduje.

Niedość Safonowa; powoływani są świadkowie bardziej znaczący: „Błok za wszelką cenę pragnął usłyszeć „muzykę rewolucji". Usłyszawszy ją umilkł na wieki. Miał szczęście: umarł w stosownym czasie". Tak, niewątpliwie: Erenburg podniósł temat poważny i chyba drastyczny w Sowietach: stosunku inteligencji rosyjskiej do bolszewizmu. Problemat ten rozstrzyga radykalnie: tworzeniem się nowej inteligencji. Temu procesowi poświęca autor dziesiątki barwnych i pełnych życia stronic. Ale nic wypada to przekonywająco, zwłaszcza pod względem pełnowartościowości tej inteligencji, wychodzącej z warsztatu przez komsomoł i rabfaki, nawet jeśli pisze wiersze, goniąc za „nieoczekiwanemi zestawieniami dźwięków" i ocierając się o „mieszczański futuryzm".

Kto chce głębiej, nietylko z powierzchownych reportaży poznać Sowiety, musi przeczytać szczerą, mimo „urzędowych" fałszów, książkę Erenburga. Lepiej jednak w oryginale. Przekład jest gładki ale transkrypcje i wogóle to, co bardziej bezpośrednio, dźwiękowo, musi być włączone do polskiego tekstu, brzmi fatalnie. Nasze stosunki z Rosją należą do naszego dziedzictwa kulturalnego; są wielowiekowe i transkrypcja powinna być traktowana narówni z ortografją. A tu „Syberjak" i ciągle jakieś „dziewczyce" (zapewne *diewicy* w potocznem, nieco innem niż polskie „dziewice" znaczeniu). „ Jegorowówna" u „Tichonowów" flirtuje z „Seńką" i „Sergejem" ale i z „Wałodją". I dlaczego „Schor" gdy „Marks" — to wie tylko p. A. Wat.

K. W. ZAWODZIŃSKI

Johannes Steenstrup in memoriam

Pokazywaliśmy go sobie jeszcze parę miesięcy temu z doc. L. Koczym w wielkiej pięknej sali Bibljoteki Królewskiej w Kopenhadze, jak dzień w dzień przychodził, dźwigając lat z górą 90 na pochylonych plecach, maleńki staruszek, samotny kawaler, wojak pióra, tytan pracy, ostatni klerk w Europie, duński historyk Johannes Steenstrup, znany z swoich prac daleko poza granicami swego małego kraju. Pracującego do ostatka, nagle nakryła śmierć zimną ręką tego zawziętego rowerzystę, kąpiącego się zimą w morzu dzień w dzień do ostatnich lat, ludzkiego przyjaciela swoich studentów, których wnukom lubił urządzać bale dziecięce w swojej samotnej willi.

Nie było tej dziedziny przeszłości duńskiej, którejby Steenstrup nie był poświęcił jakiegoś dzieła czy artykułu. Raczej ten ostatni typ publikacji pokrywał się z jego mentalnością, ciepłą, wojowniczą, często paradoksalną, irytującą, koncentrującą wszystko, co pisał, na ostrzu tezy czy kontrtezy. Słusznie podkreślano, że o ile współczesny mu na katedrze historji w Kopenhadze Fridericia był mieszczaninem w spojrzeniu na dzieje, Steenstrup był rycerzem, arystokratą, co między innemi objawiało się w jego nieco romantycznem traktowaniu źródeł historycznych. Ta tendencja pietyzmu i wiary w źródła uwydatniła się już w studjach nad księgą ziemską króla Valdemara (1873—4) skierowanych gwałtownem ostrzem przeciwko sceptycznym o niej sądom Kaspara Paludana Müllera. Także i *Normanowie*, których czwarty tom *Danelagen* przyniósł mu tytuł doktora praw (1876 — 82), są słowem w dyskusji toczącej się między zagranicznymi uczonymi o kwestję przewagi pierwiastków frankońskich czy skandynawskich w prawie normańskiem. Dzieło to dobrze jest znane i naszym historykom. *Normanowie* opierają się na badaniach źródłowych dokumentów do roku 1066 i służą tezie, iż wyprawy wikingów były czynem pionierskim, niosącym zachodowi nowe prawa i nowe urządzenia cywilizacyjne, myśl, która przez swoje podkreślanie zbawiennej roli wypraw łupieżczych wikingów nie pozwoliła docenić Steenstrupowi n. p. w zupełności roli Słowian na Bałtyku, uwydatnionej w ostatnich czasach znakomicie przez L. Koczego w *Skandynawji i Polsce za pierwszych Piastów*.

Obok *Dziejów Danji*, przerobionych na podstawie ponownych badań źródłowych po latach czterdziestu, i obok pięknego, pełnego pietyzmu dzieła o historjografji duńskiej w XIX w. (1889), rozszerzonego później do dziejów historjografji ogólnej tego wieku, działalność Steenstrupa zaznaczyła się przedewszystkiem w wielkiej ilości pracowitych i pełnych znakomitych pomysłów badań nad wewnętrznemi dziejami Danji, szczególnie stanu wieśniaczego. Najznakomitszem dziełem tego cyklu są *Nogle Bidrag til vore Landsbyers og Bebyggelsens Historie* (Kilka przyczynków do dziejów naszych wsi i osadnictwa, 1894).

Długie podróże, miesiące spędzane na wycieczkach w Alpach i stykanie się z ludem na długich wędrówkach na rowerze w południowej Jutlandji, wyhodowały w Steenstrupie otwarte spojrzenie na literaturę i życie swojego narodu i innych. Spojrzenie to spotykamy w pięknej książce o pieśni ludowej *(Vore Folkeviser fra Middelalderen*, 1891), podstawowem do dziś dnia dziele, w którem łączy się bystrość historyka z miękką czującą dłonią badacza stylu.

Na koniec warto wspomnieć, że Steenstrup jest ojcem duńskiej toponomastyki. W roku 1895 opublikowane *Nogle Undersögelser om Guders Navne i de nordiske Stednavne* (Kilka studjów nad imionami bogów w nordyjskich nazwach miejscowości) wprowadziło go na metodycznie ciekawe dalsze badania, których owocem stały się *Nazwy miejscowości w Danji* a także wspólne z Dahlerupem wydane *Imiona duńskie*. Dla tych, którzy wiedzą, jaką rolę dziś odgrywa ta dziedzina filologji, zasługi Steenstrupa na tem polu są jasne.

Steenstrup, choć nigdy nie zajmował się sprawami organizacyjnemi, odegrał poważną rolę w życiu duchowem Danji. I choć uczniowie jego w badaniach i metodzie częstokroć oddalili się od mistrza, ciepło i umiłowanie dziejów w znacznej części przejęli od niego.

STANISŁAW SAWICKI

Lund, w sierpniu.

K R O N I K A

ZBLIŻENIE KULTURALNE POLSKO-SZWEDZKIE

Zdarza się, że przejawy grawitacji dwóch narodów stają się spontaniczne w swym rozwoju, będącym samorzutnym wykwitem więzi i pokrewieństwa duchowego. Jesteśmy zatem świadkami żywiołowego wprost dążenia dwóch narodów do zbliżenia i zacieśnienia stosunków gospodarczych i kulturalnych.

Tym drugim narodem jest Szwecja, kraj bałtycki, od wieków związany z tem morzem. Należy nadmienić, że dostarcza to nowego przykładu, że morze to potężny czynnik, łączący narody. Morze zbliża, rozszerza horyzonty, ułatwia ekspansję, nietylko gospodarczą, lecz też i w dziedzinie myśli ludzkiej, a co za tem idzie w oddziaływaniu na się kultur.

Te stosunki Polski i Szwecji, które wykazały już tyle żywotności i rozmachu w ciągu dziejów, zacieśniają się obecnie coraz pomyślniej.

Dalszym krokiem w tym kierunku jest porozumienie między Ministrami W. R. i O. P. Polski i Szwecji, zawarte w Warszawie 7 VI b. r., które jest wyrazem pragnienia pomyślnego rozwoju stosunków naukowych, literackich i artystycznych między obydwoma krajami.

Rozwój stosunków intelektualnych spotyka się zatem z pomocą ze strony czynników państwowych, która wyraża się według porozumienia poparciem i ułatwieniem studjów historycznych obu narodów nad stosunkami między Polską a Szwecją, przekładów dzieł literackich i naukowych z jednego języka na drugi, oraz wzajemnych odwiedzin profesorów wyższych uczelni w celu wygłaszania odczytów i specjalnych wykładów. Wprowadzenie w życie tych zarządzeń będzie powierzone specjalnie w tym celu stworzonym komitetom w obu państwach, które będą pozostawać z sobą w ścisłej łączności. Stwierdzamy więc niezaprzeczalnie ważny moment, gdy czynniki państwowe, konstatując pomyślny stan rzeczy, udzielają mu swej opieki, pod którą stosunki intelektualne nabiorą form bardziej konkretnych i sprecyzowanych.

W celu nawiązania właśnie ściślejszych kontaktów między nauką polską a szwedzką bawił w Stockholmie, Uppsali, Lund i Göteborgu w styczniu i lutym r. 1934 prof. Wł. Antoniewicz, a znów w pierwszej połowie września r. b. w Stockholmie dyrektor Instytutu Bałtyckiego w Toruniu Józef Borowik. Zabiegi te na gruncie szwedzkim dotyczyły zwłaszcza współpracy na polu naukowem, która wysuwa się na plan pierwszy porozumień polsko-szwedzkich, ułatwionych znacznie dzięki zawartej ostatnio umowie oficjalnej.

KONKURS *PIONU*

OGŁOSZONY W N-RACH 32—34 PRZEDŁUŻONY ZOSTAJE NA ŻYCZENIE OSÓB ZAINTERESOWANYCH DO DNIA 15 PAŹDZIERNIKA. TERMIN TEN JEST OSTATECZNY.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł.; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.

R